

ZABÓJSTWO 17-LETNIEJ MAGDY

KRYMINALNA HISTORIA ŁODZI

STR. 6

EXPRESS

ilustrowany



**TENISISTKA WCAŁE NIE
CHCE ZOSTAĆ W POLSCE**

• Iga Świątek
o swoim wymarzonym
miejscu do życia STR. 13



W spotkaniu wzięło udział ponad sto osób.

**DUŻE EMOCJE NA SPOTKANIU
WICEPREZYDENTA PIOTROWSKIEGO
Z MIESZKAŃCAMI TEOFIŁOWA**

CI ZZA BIURKA, WIEDZĄ LEPIEJ NIŻ ŁÓDZIANIE?

**Władze Łodzi przedstawiły plany
remontów dróg na Teofilowie** STR. 4

KATARZYNA PÓJDZIE NA ZŁOM PO ROKU STANIA W BEZRUCHU?

STR. 3



MEDALE ZA 50 LAT MAŁŻEŃSTWA



**PROCEDURA
TRWA AŻ DWA LATA!** STR. 4



**DZIUPŁA
Z CZĘŚCIAMI**

STR. 2



9 770137 909040

45

EXPRESSOWO

ŁÓDZKIE Cichy zabójca w naszych domach i mieszkaniach
Z powodu zatrucia czadem u dwóch mężczyzn, mieszkańców pow. sieradzkiego, (57 i 61 lat) doszło do zatrzymania krążenia. Nie udało się ich uratować. Kolejne 9 osób podtruło się tlenkiem węgla. 7 z nich trafiło do szpitala, a 2 odmówiły hospitalizacji. To tragiczny bilans października.

Spółród 11 przypadków zatrucia tlenkiem węgla do 3 doszło w Łodzi, 4 w pow. pabianickim, do 2 w pow. kutnowskim i sieradzkim.
- Wśród osób zatrutych tlenkiem węgla jest 8-letnia dziewczynka, najmłodsza z poszkodowanych w październiku - informuje Krzysztof Chmiela, dyrektor ds. medycznych Wojewódzkiej Stacji Ratownictwa Medycznego w Łodzi. - Najstarsza ofiara czadu to 72-letni mężczyzna. Tlenek węgla jest bezbarwnym i bezwonym gazem co czyni go „cichym zabójcą”. Bardzo szybko łączy się z hemoglobina - białkiem znajdującym się w czerwonych krwinkach - blokując jej zdolność do przenoszenia tlenu. W rezultacie komórki organizmu ulegają niedotlenieniu, co często prowadzi do śmierci. Objawy zatrucia zależą od stężenia gazu oraz czasu oddziaływania na organizm. Niestety, są to często objawy niespecyficzne, przez co często ignorowane przez samych poszkodowanych oraz ich rodziny.

● **Na to powinien zwrócić uwagę: zmęczenie, bóle głowy, zawroty głowy, nudności, wymioty, zaburzenia widzenia.** (LB)

Bląkał się na ulicy Piotrkowskiej

Ten duży roczny kot został znaleziony na ul. Piotrkowskiej. 3 listopada trafił do łódzkiego schroniska dla zwierząt. Waży 4,3 kg. Czipa brak. Jego właściciel lub osoba, która chciałaby go przysiągnąć, może zadzwonić pod numery telefonów 42 656 78 42 lub 501 437 232.



FOT. SCHRONISKO-ŁÓDŹ.PL

SKIERNIEWICE Nie mógł się doczekać prawa jazdy i...

17-letni mieszkaniec Skiernewic jest w trakcie kursu nauki jazdy, ale prawdopodobnie nie będzie mógł kierować pojazdami przez najbliższe lata. Powód? Roztrzaskał auto na słupie. Jak podała policja, doszło do tego w nocy z poniedziałku na wtorek w Makowie. Chłopak stracił tam panowanie nad pojazdem i uderzył w ogrodzenie oraz słup energetyczny. Kierujący volkswagenem nie dostosował prędkości do warunków drogowych. W wyniku uderzenia doszło do zerwania linii energetycznych, co stworzyło zagrożenie dla życia i zdrowia osób postronnych. Konieczne było odłączenie prądu. Nastolatek za kilka dni kończy 18 lat i jest w trakcie kursu na prawo jazdy - nie ma uprawnień do kierowania pojazdami. Ponadto auto, którym się poruszał, nie miało aktualnych badań technicznych i nie powinno być używane. Na szczęście, nastolatek podróżował sam i nie odniósł obrażeń, był trzeźwy. Z miejsca wypadku odebrała go matka. Właściciel auta został ukarany mandatem 300 zł za udostępnienie pojazdu osobie bez uprawnień. O dalszym losie 17-lataka zdecyduje sąd. Może orzec zakaz prowadzenia pojazdów od 6 miesięcy do 3 lat, co uniemożliwi chłopakowi ukończenie rozpoczętego kursu prawa jazdy. Ale to nie wszystko. Ponieważ 17-latek nie miał uprawnień jego rodzice będą musieli pokryć wszystkie koszty związane z naprawą uszkodzeń ogrodzenia i słupa energetycznego i infrastruktury drogowej. (JN)

29-letni paser handlował na Bałutach częściami samochodów

Policjanci zdemaskowali sklep, w którym sprzedawano części ze skradzionych samochodów. Właściciel lokalu został zatrzymany i usłyszał zarzuty prokuratorskie. Sprawa jest rozwojowa.



Wiesław Pierzchała

Pięć lat więzienia grozi 29-latkowi, który prowadził sklep z częściami od aut. Mężczyzna usłyszał zarzut paserstwa.

Wpadł, gdy do akcji przystąpili policjanci komendy miejskiej i wojewódzkiej w Łodzi. Współ-

pracowali z fachowcami Laboratorium Kryminalistycznego KWP w Łodzi, którzy na miejscu potwierdzili, że sprzedawane w sklepie części pochodzą ze skradzionych samochodów.

Były to m.in. silniki, skrzynie biegów, elementy karoserii oraz części wyposażenia wnętrza.



FOT. POLICJA

Ustalono, że pochodzą z aut takich marek jak: bmw, kia, audi, nissan, chrysler, ford, citroen i volkswagen, które zostały skradzione w woj. łódzkim, Warszawie oraz w Niemczech i we Francji.

Na miejscu policjanci zabezpieczyli też komputery oraz dokumentację księgową, któ-

ra będzie teraz szczegółowo analizowana pod kątem ewentualnego udziału innych osób w przestępczym procederze.

Zatrzymany 29-latek trafił do policyjnej izby zatrzymań. Po zebraniu materiału dowodowego usłyszał zarzut paserstwa. Grozi mu do pięciu lat pozbawienia wolności.

- UPYCHAJCIE SIĘ!, UPYCHAJCIE SIĘ! AWANTURY NA PRZYSTANKACH I W TRAMWAJACH

Magdalena Jach

Wszystko przez awarię tramwajową, doszło wczoraj rano na ul. Armii Krajowej. Tramwaje stanęły, a łodzianie mieli problem z wydośaniem się z osiedla.

Do zatrzymania ruchu z przyczyn technicznych - jak informowało MPK - doszło po godz. 6. Od godz. 6.27 stały tramwaje linii 10, 12 i 18 przy ul. Armii Krajowej w kierunku centrum miasta. Komunikacja została wznowiona w ciągu pół godziny. Niestety, opóźnienia spowodowały, że na przystankach na Retkini gromadziły się tłumy mieszkańców, spieszących do pracy i do szkoły, szczególnie w tych punktach, gdzie przystanki tramwa-

jowe nie są zintegrowane z autobusowymi.

Gdy po godz. 7. ruch został wznowiony, a tramwaje ruszyły z opóźnieniami - tłok był nie do opisanego.

- Już na krańcówce było ciasno, a przystanek dalej -

ledwo drzwi się zamknęły - opisuje jedna z pasażerek. - Na kolejnych przystankach już nie wszyscy mogli wsiąść.

I tak było na każdym całej trasie na Retkini, Karolewie aż do przystanku przy Centralu. Pasażerowie wściekli



Pasażerowie na przystankach na Retkini musieli wczoraj czekać pół godziny.

FOT. CZYTELNIK

zostawali na przystankach, z nadzieją na następny tramwaj.

Ludzie zdenerwowani nawoływali z zewnątrz do tych w środku, by się poprzesuwa- li, siadali sobie na kolanach...

- Upychajcie się, upychajcie się! My też chcemy jechać! - apelowali.

Niestety nie wszyscy się zmieścili.

- Nie pamiętam, kiedy „12”, którą jechałem, była tak zatłoczona - opowiada pasażer. - To szok i skandal. Nie widziałem ani jednego autobusu zastępczego. I to wszystko w godzinach szczytu porannego! Autem nie wyjedziesz rano z Retkini na czas, a gdy MPK ma awarię - to katastrofa!

AUTOPROMOCJA

0010990275

Zamów prenumeratę

Express Ilustrowany ☎ 42 715 80 68
bok.prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.expressilustrowany.pl

EXPRESS
ilustrowany

www.expressilustrowany.pl
e-mail: express@express.lodz.pl

REDAKCJA 90-532 Łódź, ul. ks. I. Skorupki 17/19
Redaktor naczelny Marek Krzciuk
Sekretariat 42 66 59 300
BIURO REKLAMY Polska Press Sp. z o.o. Oddział Biuro Reklamy w Warszawie Filia Łódź, ul. ks. I. Skorupki 17/19, 90-532 Łódź, tel. 6659-400.

Ogłoszenia na telefon 0-800 47-28-52. Adresy i telefony biur ogłoszeń na stronach ogłoszeniowych
WYDAWCA Polska Press Sp. z o.o. Warszawa 02-672, ul. Domaniewska 45

Prezes Zarządu Polska Press Grupy Zenon Nowak
Prezes Makroregionu Aneta Sarga-Burtan
Dyrektor sprzedaży makroregionu Anna Gałuszka
Kierownik Zespołu Sprzedaży oddział Łódź Katarzyna Michalak

Projekt graficzny Tomasz Bocheński
Biuro Prasowe: biuroprasowe@polskapress.pl
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10
Druk Drukarnia ZPR Media S.A., 04-190 Warszawa, ul. Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA



Prenumerata z dostawą do domu: bok.prenumerata@polskapress.pl, tel. 42 715 80 68
Garmond: prenumerata@polskapress.pl, tel. 12 422 14 85; dla firm i instytucji: prenumeratapry@garmondpress.pl
Kolporter: www.prenumerata.kolporter.com.pl, tel. 41 367 88 88; Poczta Polska: www.prenumerata.poczta-polska.pl, lub w najbliższym urzędzie pocztowym.

©/® - umieszczenie takich dwóch znaków przy artykule, w szczególności przy aktualnym artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie <http://www.expressilustrowany.pl/tresci> i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

Wkrótce tarcza będzie nadawać się na złom



Budowa tunelu stanęła niemal dokładnie rok temu. I nic w tej sprawie się nie zmienia.

FOT. GRZEGOŻ GĄSIŃSKI

Drażenie tunelu średnicowego pod Łodzią nie posuwa się do przodu od roku. Rok temu, na początku listopada 2024 tarcza Katarzyna została zatrzymana po wwierceniu się w niestabilną kurzawkę. Grunt zaczął się osypywać, a znajdująca się na powierzchni kamienica niebezpiecznie zaczęła osiadać.

Jacek Zemła

To osiadanie przeraziło wykonawcę tunelu, bo dwa miesiące wcześniej zawaliła się część kamienicy przy al. 1 Maja 23. Nie można było dopuścić do kolejnej katastrofy budowlanej, dlatego tarczę zatrzymano. Później jeszcze była podjęta próba jej uruchomienia, ale znajdujący się na górze budynek znów zaczął osiadać, więc dalszych prac zaniechano.

Tarcza od roku tkwi pod aleją 1 Maja. Według fachowców jeszcze nadaje się do użytku,

ale jak postoi dłużej, będzie ją można oddać na złom. Pragnieniem wykonawcy tunelu byłoby „dojechanie” maszyną do znajdującego się dosłownie kilka metrów dalej bloku postojowego, ale na razie jest to niemożliwe. Każdy ruch Katarzyny może spowodować zawalenie się kolejnej kamienicy, a za to nikt nie chce wziąć odpowiedzialności.

W efekcie nie ma żadnej decyzji co dalej. Były różne pomysły, m.in. próba podparcia kolejnych kamienic żelbetową belką zabudowaną pod ich fundamentami, ale nie zgodzi-

li się na to mieszkańcy. Pomni losu swoich sąsiadów, którzy od ponad roku mieszkają w hotelach, lokatorzy kolejnych kamienic zagrożonych przez drażenie tunelu nie chcieli nawet słyszeć o jakiegokolwiek ingerencji w grunt pod ich domami. Nic nie dały też spotkania inwestora tunelu (spółki PKP Polskie Linie Kolejowe) z mieszkańcami. Poza negatywnymi emocjami, a nawet pyskówkami, nie pojawił się tam żaden konstruktywny pomysł, jak wybrnąć z impasu. Jakby tych problemów było mało, kończą się pieniądze

przeznaczone na budowę tunelu. Pochłonęły je dodatkowe prace, koszty hoteli, ochrony placu budowy, energii elektrycznej oraz pensje specjalistów, którzy choć nie drażą, cały czas są zatrudnieni.

- Jako wykonawca dysponujemy odpowiednim potencjałem technicznym i sprawnie możemy się zmobilizować, by móc dalej działać przy drażeniu tunelu. Kwestie finansowe są ważnym dla nas tematem, ale w tej sprawie toczą się negocjacje z zamawiającym, czyli PLK. Liczymy na ich szybkie zakończenie - mówi Piotr Gra-

bowski, rzecznik wykonawcy, czyli firmy PBDiM z Mińska Mazowieckiego. - Do zakończenia budowy tunelu pozostało około 980 metrów. Szacuje się, że drażenie może potrwać około 10-12 miesięcy. Natomiast zaledwie kilka metrów od czoła tarczy znajduje się blok postojowy przygotowany specjalnie dla maszyny. Gdy tarcza ruszy, czoło TBM wwierci się w blok postojowy i maszyna będzie bezpiecznie „zparkowana”. Umożliwi to jej konserwację, rozpoczęcie ekspertyz budynków i wydanie decyzji o powrocie lokatorów

do kamienic. Będzie też można podjąć decyzję, co dalej z drażeniem tunelu.

Niestety, jak na razie nie ma widoków na zielone światło dla Katarzyny. Padło już kilka terminów, z których żaden nie okazał się realny. Teraz mówi się o końcu bieżącego roku. Jednak najpierw trzeba by rozwiązać problem osiadającej kamienicy, podpartej od spodu maszyną, a na to póki co pomysłów brak. Mimo to wszyscy, łącznie z Ministerstwem Infrastruktury zapewniają, że tunel pod Łodzią powstanie. Jedyna niewiadoma to kiedy.

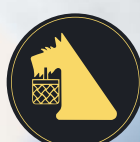
AUTOREKLAMA

0011424634

EXPRESS
ilustrowany

do kupienia
także
w sieci

Netto



Urzednicy planują zza biurka, mieszkańcy wiedzą lepiej

To nie było łatwe trzy godziny dla wiceprezydenta Łodzi Tomasza Piotrowskiego oraz urzędników, którzy planują i nadzorują remonty i przebudowy ulic. Na spotkanie w Szkole Podstawowej nr 169 przy ul. Napoleńskiej przyszło ponad sto osób. Większość z gotowymi pomysłami na to, jak usprawnić ruch na obydwu osiedlach i które ulice remontować najpierw, a które później.

Jacek Zemła

Najwięcej emocji budzi planowane na wiosnę przyszłego roku rozpoczęcie remontu ulicy Traktorowej. To jedna z dwóch głównych tras dojazdowych na Teofilów, poza Aleksandrowską. Łódzki magistrat chce zamknąć ją na odcinku od Judyma do Rąbieńskiej, zachowując jedynie możliwość wjazdów docelowych. Cała szerokość ulicy będzie rozkopana, bo trzeba wymienić instalacje podziemne. W zamian urzędnicy proponują objazd nowo zbudowa-

nym fragmentem ulicy Kaczeńcowej od Judyma do Rąbieńskiej.

- Jeśli cały ruch z Teofilowa zostanie skierowany na niewyremontowaną Rąbieńską, to zatką się ona całkowicie. Tą ulicą jeżdżą setki aut od strony Szczecińskiej, z Rąbienia, a nawet z Aleksandrowa. Rano korki przed Traktorową sięgają kilkuset metrów. Gdzie jeszcze mają się zmieścić auta z Teofilowa? - pytał jeden z mieszkańców osiedla przy Rąbieńskiej.

- Rąbieńska przy takim natężeniu ruchu to się rozleci w tydzień - przewiduje inny z uczestników spotkania. - As-

falt na tej ulicy jest cały spękany, pełen dziur i wybojów. Nie ma tam chodników, jest ciemno, jak można skierować na taką słabą drogę cały ruch z Teofilowa w kierunku Krakowskiej?

- Innej opcji nie ma, z przyczyn technologicznych nie możemy najpierw wyremontować Rąbieńskiej, a potem Traktorowej. Poza tym przy tej drugiej powstało duże osiedle, ludzie oczekują dojazdu, chodników, bezpiecznych przejść dla pieszych i możliwości włączenia się do ruchu - bronił koncepcji wiceprezydent Piotrowski.

Mieszkańcy wskazywali też na konieczność budowy nowej

przeprawy przez tory kolejowe w kierunku alei Włókniarzy. Taką ulicę wraz z wiaduktem jest już planowana od 50 lat i jest na nią zarezerwowany korytarz. Niestety miastu wciąż brakuje pieniędzy, nawet jeśli w budowę wiaduktu zaangażowałyby się finansowo kolej.

- Bez nowego połączenia z centrum tak czy inaczej uduśmimy się tutaj, choćbyście wyremontowali wszystkie ulice - podnosili mieszkańcy. - Tu trzeba radykalnych działań, wiadukt na Drewnowskiej jest zbyt wąski, żeby przyjąć coraz większy ruch, a ten na Konstancyńskiej korkuje się już od lat.



FOT. JACEK ZEMŁA



Spotkanie urzędników z mieszkańcami w szkole trwało długie godziny.

Potrzebny jest nowy wiadukt i to jak najszybciej.

- W przyszłym roku wystąpimy do kolei o dofinansowanie tej inwestycji, około 2030-31 roku jest szansa, że taki wiadukt, albo tunel, powstanie - uspokajał emocje Tomasz Piotrowski.

Burzliwe spotkanie trwało trzy godziny i nie wyczerpano

drogowych tematów ważnych dla mieszkańców Żłotna i Teofilowa. Ustalono natomiast, które gruntowe ulice doczekają się w najbliższym czasie (nawet jeszcze w tym roku) asfaltowej nawierzchni oraz w jaki sposób powinien przebiegać remont ulicy Wykowej, stanowiącej łącznik pomiędzy Rojną i Rąbieńską.

Łódzka kompostownia przy ul. Sanitariuszek zasypana liśćmi



W Łodzi liście leżą wszędzie, na chodnikach, trawnikach, jezdniach.

FOT. KRZYSZTOF SZYMIAK

Magdalena Rubaszewska

Na osiedlowych i miejskich chodnikach, trawnikach, w parkach, na skwerach i na innych terenach zielonych, nawet na jezdniach w Łodzi leżą liście opadłe już prawie ze wszystkich drzew i krzewów. W niektórych miejscach zalegają grubą warstwą. Kolorowe dywany wyglądają może i bajkowo, ale liście trzeba będzie w końcu sprzątnąć.

A te, które już zostały zebrane, trafiają do kompostowni odpadów biodegradowalnych przy ul. Sanitariuszek (przyjmowanie w pozostałych punktach przy ul. Zamiejskiej 1, ul.

Kasprowicza 10 i ul. Granicznej 2 na razie wstrzymano, ma je przejąć spółka MPO). Dowożą je tutaj firmy zajmujące się utrzymaniem terenów zielonych, które zbierają liście na zlecenie spółdzielni, wspólnot mieszkaniowych czy administracji budynków komunalnych. Odpady te dostarczają również łodzianie, którzy chwycili za grabie i porządkują przydomowe ogrody i działki.

- Zwiększona ilość tego rodzaju odpadów trafia do nas od września, dotychczas przyjeźliśmy 4 tys. 927 ton. Akcja zwożenia zakończy się w listopadzie - mówi Marcin Pietranek, zastępca kierownika łódzkiej kompostowni.

Magdalena Rubaszewska

Ryszard Tomicki z Łodzi przeżywszy z małżonką szczęśliwe pół wieku chciał tę okoliczność uświetnić medalem za długoletnie pożycie małżeńskie przyznawanym przez prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Nie spodziewał się, że to taka trudna sprawa.

- Zatelefonowałem do urzędu stanu cywilnego przy al. Piłsudskiego. Usłyszałem, że owszem mogą złożyć wniosek o przyznanie tego wyróżnienia. Jednak muszę uzbroić się w cierpliwość, ponieważ na medal będę czekać nawet dwa lata. Mogę nie dożyć - obawia się pan Ryszard, który ma 78 lat, a jego druga połowa 71. - Dałem sobie spokój.

O ile złożenie wniosku nie wymaga specjalnych zabiegów - należy podać podstawowe dane, w tym datę i miejsce zawarcia związku małżeńskiego - to dalsza droga po medal nie jest krótka. Jednak żeby jej pokonanie zabierało tyle czasu? - frasuje się łodzianin. - Ubiegający się o odznaczenie po 60 la-

tach wspólnego życia, mają jeszcze mniejsze szanse na doczekanie się tego wyróżnienia.

Po przyjęciu wniosku od jubilatów przez łódzki urząd miasta, ten przekazuje dokument do Urzędu Wojewódzkiego w Łodzi. Za jego pośrednictwem wnioski trafiają do kancelarii polskiego prezydenta, któ-

ra prowadzi własną procedurę. Być może to na najwyższym szczeblu tworzy się zator?

Ale to jeszcze nie koniec. Łódzki urząd miasta ma jeszcze pół roku od przyznania wyróżnienia na zorganizowanie uroczystości, podczas której prezydent, tym razem miasto honoruje jubilatów.

Co roku w dużej sali obrad Urzędu Miasta Łodzi przy ul. Piotrkowskiej na uroczystość stawia się około stu par na medal. Jest on wyjątkowy. To jedyne odznaczenie państwowe przyznawane przez prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej dla dwóch osób.



Uroczystość odbywa się w dużej sali obrad łódzkiego magistratu.

FOT. GRZEGORZ GALASINSKI

Tajemnica Magdy Sobczak

To jedno z najbardziej tajemniczych morderstw popełnionych w Łodzi. Córkę właściciela fabryki czekoladek zabito 63 lata temu. Kto to zrobił?

Anna Gronczewska

Jarosław Warzecha, dziennikarz Radia Łódź, razem z Adamem Antczakiem, niegdyś rzecznikiem prasowym łódzkiej policji wydali przed laty książkę „Pitaval Łódzki 1954-1986”. Opisali w niej m.in. sprawę morderstwa Magdy Sobczak. Jarosław Warzecha wyjaśnia, że nieprzypadkowo zainteresował się właśnie tym zabójstwem.

- Była to bardzo głośna w Łodzi sprawa - opowiadał nam przed laty. - Poza tym miałem starszą koleżankę, która chodziła do tej samej szkoły co Magda Sobczak. Było to X LO. Znajdowało się ono w tym budynku, w którym mieścił się Wydział Filologiczny Uniwersytetu Łódzkiego.

Sobczakowie mieszkali na III piętrze kamienicy przy ul. Piotrkowskiej 161, w lewej oficynie. Wchodziło się do nich tzw. schodami kuchennymi. Było tam jedno mieszkanie. By dojdź do ich klatki schodowej, trzeba było przejść całe podwórko. A potem wejść na ostatnie piętro.

Sobczakowie byli znaną w Łodzi rodziną. Ojca Magdy nazywano by dziś biznesmenem. Ale wtedy stanowił tzw. prywatną inicjatywę, na którą ówczesne władze nie patrzyły zbyt przychylnie. Stanisław Sobczak prowadził zakład cukierniczy. Jak wynika ze starej książki telefonicznej, znajdował się on przy ul. Gdańskiej 101. Ta mała fabryczka produkowała m.in. czekoladki. Był więc - jak na tamte czasy - majątnym człowiekiem. Mało kto mógł wtedy być właścicielem samochodu marki Warszawa, jeździć na weekendy do Warszawy czy Zakopanego. Żona Maria zajmowała się domem, starsza córka Dorota pracowała w jednym z łódzkich urzędów. A jaką dziewczyną była Magda Sobczak? Według opowieści jej koleżanek bardzo skromną, nie obnoszącą się bogactwem rodziny. Dobrze się uczyła.

W 1962 roku Wielkanoc przypadała na 22 i 23 kwietnia. Jak podają autorzy książki „Pitaval Łódzki”, były to upalne dni. Rodzina Sobczaków chciała spędzić święta w Zakopanem, ale kilka dni przed Wielkanocą zmieniła plany. Postanowiła jechać do Warszawy. Ale w Wielką Niedzielę byli jeszcze w Łodzi.

Na wielkanocnym śniadaniu mieli gości. Była to dość znana (dziś już nieżyjąca) łódzka aktorka ze swym synem, wówczas młodym lekarzem. Na drugi dzień Sobczakowie szykowali się do wyjazdu. Magda nie wybierała się do Warszawy z rodzicami i siostrą.

We wtorek rano miała pojechać ze swoim hufcem na wycieczkę do połódzkich lasów. Z „Pitawalu” możemy dowiedzieć się, jak wyglądały ostatnie godziny życia Magdy. W wielkanocny poniedziałek opalała się na balkonie. Potem wróciła do pokoju i zaczęła czytać „Lalkę”. Rodzice i siostra wyjechali z domu około godz. 13.30. Po godz. 16 Magda zadzwoniła do najbliższej koleżanki Anny. Ta namawiała ją, by poszły do łódzkiej Hali Sportowej na mecz koszykówki. Magda nie chciała. Powiedziała, że musi się uczyć. Umówiły się, że razem pojadą na wycieczkę. Kiedy we wtorek, o godz. 7 rano Ania zadzwoniła do Magdy, by przypomnieć jej, żeby wzięła aparat fotograficzny, nikt nie podnosił słuchawki. Potem poszła do mieszkania Sobczaków, ale nikt nie otworzył drzwi...

W „Pitawalu Łódzkim” czytamy, że Sobczakowie wrócili wieczorem ze stolicy. Stanisław poszedł zaparkować swoją warszawę w garażu, który znajdował się na podwórku sąsiedniej kamienicy, pod numerem 159. Gdy wrócił, Maria i córka Dorota

dzwoniły do drzwi mieszkania, ale nikt nie otwierał. Zauważyli, że Magda nie sprzątnęła butelek z mlekiem. Pomyśleli, że córka się kąpie. Otworzyli drzwi kłuczem i weszli do środka. Zauważyli uchylone drzwi dużego pokoju, tego z narożnym oknem, na podłodze leżały szczątki potłuczonego wazonu. Na stole stało jedzenie, pewnie po świątecznym przyjęciu. Jedno krzesło było przewrócone. Obok, na uchylonym dywanie leżały zwłoki Magdy... W piersi dziewczyny tkwił nóż z zastawy stołowej.

- Lekarz pogotowia stwierdza, że zabójca musiał znać anatomię ludzi lub zwierząt, ponieważ trzy uderzenia zostały zadane klingą skierowaną równolegle do żeber - piszą autorzy „Pitawalu Łódzkiego”. - Później podczas sekcji stwierdzono trzy rany serca, zadane, gdy dziewczyna leżała już na podłodze i nie broniła się. Lekarz przeprowadzający sekcję stwierdził też m.in. rany tłuczone głowy, zadane wazonem, złamaną rękę. Śmierć miała nastąpić 7-12 godzin przed odkryciem zwłok.

Rozpoczęło się śledztwo. Szukano mordercy, jednocześnie próbowano ustalić motyw zbrodni. Po mieście zaczęły krążyć różne plotki na temat tego zabójstwa.

- Są tego ślady w ówczesnej prasie - mówił nam Jarosław Warzecha. - Przygotowując tę książkę zaglądałem do starych gazet. Patrzyłem, do czego do-

tarli wtedy dziennikarze. Nie mogli jednak wtedy dotrzeć do wielu rzeczy. Nie pozwalał na to mocny reżim cenzury.

Jedną z szeptanych potajemnie wersji dotyczących motywów tego zabójstwa było też to, że za sprawą stała Służba Bezpieczeństwa. Sobczak był bogaty, a swego majątku nie trzymał w banku. Po zabójstwie stwierdził, że nic nie zginęło w domu. Ani biżuteria, ani drogie futra, ani 75 pięćdziesięciotowych banknotów... Ale miał on podobno tzw. świnki, czyli złote monety pięciorublowe. I to „świnki” miały zniknąć z jego mieszkania po morderstwie córki. Gdyby się przysnał do ich posiadania, miałby kłopoty.

- Były to czasy, gdy nie wolno było posiadać obcej waluty, sztabek złota - przypominał Jarosław Warzecha.

Jedna z hipotez mówi, że przyszła po nie SB. Kolejna, że powodem morderstwa była odrzucona przez Magdę Sobczak miłość. Inna, że był to typowy mord rabunkowy.

Jarosław Warzecha mówił nam, że gdy po latach przyjrzał się śledztwu w sprawie zabójstwa Magdy Sobczak, to widzi że było prowadzone niedbale. Tak jakby komuś nie zależało na wykryciu sprawcy. Choć trzeba też przyznać, nie była to prosta sprawa.

Nie było śladów włamania. Drzwi mogła więc na przykład otworzyć zaufana osoba, posiadająca klucze. Magda mogła też znać tego, kto chciał wejść do jej mieszkania. Inna hipoteza zakładała, że ktoś dorobił klucze. Pozostawiony na ścianie ślad wskazuje, że Magda próbowała domknąć drzwi, gdy intruz chciał dostać się do środka. Był jednak silniejszy.

W śledztwie pojawia się postać tajemniczego, młodego mężczyzny w zielonym płaszczu, który pewnie jest kluczem do rozwiązania zagadki śmierci Magdy Sobczak i tajemnicy kamienicy przy ul. Piotrkowskiej.

Jedna z sąsiadek zeznała, że drugiego dnia świąt siedziała na podwórku. Około godz. 18 zauważyła mężczyznę w zielonym płaszczu, który wchodził do klatki w której mieszkali Sobczakowie. Kilkadziesiąt minut później wychodził z kamienicy. Widziała go też podobno z okna oficyny po prawej stronie inna z sąsiadek. Na tego mężczyznę zwrócił też uwagę pracownik kiosku w znajdującym się naprzeciw



nieistniejącym już domu handlowym „Jaś i Małgosia”. Mimo że wytypowano kilkudziesięciu potencjalnych sprawców, to nikomu nie postawiono zarzutów. W maju 1963 roku ojciec Magdy wyznaczył 250 tys. zł nagrody za wykrycie mordercy. Nie pomogło. 6 listopada 1963 roku umorzono śledztwo.

- Dziś pewnie byłyby większe możliwości rozwiązania tej sprawy - zaznacza Adam Antczak. - Wtedy na przykład nawet nie potrafiono zabezpieczać śladów DNA.

Wydawało się, że po ponad 10 laty sprawa ta jednak znajdzie rozwiązanie. W 1973 r. łódzka milicja zatrzymała tzw. grupę inżynierów. Byli to studenci i uczniowie starszych klas szkół średnich. Dokonywali

włamań do mieszkań zamożnych łódzian. Jeden z członków tej grupy, Wojciech K., powiedział, że zna tajemnicę śmierci Magdy Sobczak. Razem z kolegą, Markiem Ch. włamali się do mieszkania Sobczaków. Wcześniej mieli wykraść jej i odbić klucze na zabawie w łódzkim MDK. Kiedy poszli „na włamanie” nie wiedzieli, że w mieszkaniu została Magda. Kolega wystraszył się, uderzył dziewczynę i uciekł. Niestety, zeznań Wojciecha K. nie można było skonfrontować z tym, co mówił kolega. Marek Ch. otruł się strychniną. Uznano też, że Wojciech ma skłonność do konfabulacji. Sprawa morderstwa 17-letniej Magdy pozostaje do dziś tajemnicą.

0011428485

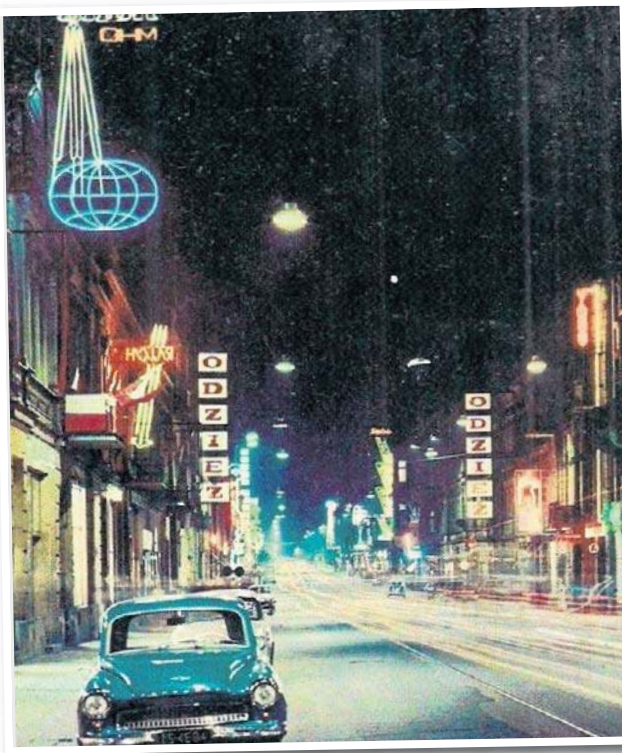
Z głębokim żalem zawiadamiamy, że dnia 4.11.2025 r.
zmarła w wieku 90 lat

Aleksandra Miksa

Uroczystość pogrzebowa odbędzie się
w dniu 6.11.2025 r. o godz. 14.00
na Cmentarzu Rzymskokatolickim pw. Św. Wincentego
Doły przy ul. Smutnej 6 w Łodzi,

o czym zawiadamia
pogrążona w głębokim smutku

Rodzina



FOTOPOLSKA

ROSYJSKI TANKOWIEC W KULEVI. GRUZJA POMAGA OMIJAĆ SANKCJE ZACHODU

Grzegorz Kuczyński, PAP

Rosyjska firma naftowa RussNeft dostarczyła 105 340 ton ropy do nowej, częściowo finansowanej przez państwo rafinerii Kulevi w Gruzji.

Statek Kayseri pływający pod banderą panamską przewoził 105 340 ton syberyjskiej ropy naftowej typu Siberian Light z rosyjskiego portu Noworosyjsk nad Morzem Czarnym do rafinerii Kulevi. Urząd Skarbowy Ministerstwa Finansów Gruzji wydał 21 października oświadczenie potwierdzające dostawę ropy od rosyjskiej firmy. W oświadczeniu nie ujawniono nazwy rosyjskiej firmy, aby zapobiec „rozpowszechnianiu informacji zawierających tajemnice podatkowe”.

W oświadczeniu stwierdzono, że „statek, armator, nadawca i odbiorca ładunku nie podlegają międzynarodowym sankcjom”. Służba Skarbowa próbuje rozwiać gruzińskie i międzynarodowe podejrzenia, że rządząca partia Gruzjiński Sen pomaga Rosji w obchodzeniu międzynarodowych sankcji. Niezależne źródła klasyfikują tankowiec Kayseri jako część tzw. floty cieni Rosji, którą Kreml wykorzystuje do uniknięcia sankcji po pełnej inwazji na Ukrainę. Gruzijscy urzędnicy nie sprecyzowali, czy rosyjska ropa została załadowana i zmagazynowana w nowej rafinerii w Kulevi, czy w pobliskim terminalu naftowym Kulevi, należącym do Państwowej Spółki Naftowej Republiki Azerbejdżanu.



Nowa gruzińska rafineria Kulevi przyjmuje ropę z Rosji. Zakład nad Morzem Czarnym rozpoczął działalność w październiku

FOT. ANDRZEJ HOSPER, CC BY 4.0

Będzie zwrot działki pod Centralny Port Komunikacyjny

Anna Nagel, PAP

Działka w Zabłotni pod kolej do Centralnego Portu Komunikacyjnego zostanie zwrócona za cenę pierwotnego zakupu - poinformował w środę dyrektor generalny KOWR Henryk Smolarz.

W środę w siedzibie Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa (KOWR) odbyło się spotkanie kierownictwa tej instytucji m.in. z właścicielem działki w Zabłotni, wiceprezesem Dawtony Piotrem Wielgomasem, w sprawie odzyskania przez Skarb Państwa działki potrzebnej pod CPK.

- Zapowiadałem kilka dni temu, że zrobimy wszystko, by jak najszybciej ta działka wróciła do zasobu Skarbu Państwa i tak też się dzieje - powiedział po zakończeniu spotkania minister rolnictwa i rozwoju wsi Stefan Krajewski. Dodał, że zasady zostały ustalone przy „dobrej woli obu stron”.

- Będzie, mówiąc bardzo potocznie, zwrot nieruchomości za cenę, jaka była zapłacona w pierwotnym akcie notarialnym. Pan Piotr (Wielgomas - PAP) rezygnuje z wszelkich roszczeń co do nakładów, zatem tylko i wyłącznie zwrot nieruchomości za cenę pierwotnego zakupu - powiedział Smolarz po spotkaniu.

Pytany, kiedy działka przejdzie w posiadanie KOWR,



Minister podkreśla, że zasady zostały ustalone przy „dobrej woli obu stron”.

FOT. GOV.PL

stwierdził, że „tak szybko, jak to będzie możliwe”. Dodał, że jest to kwestia najbliższych tygodni lub dni.

- Umowa jest na bieżąco konsultowana z Prokuraturą Generalną, ale również z notariuszem, bo on ostatecznie będzie zaświadczał o poprawności tej umowy. Zatem to są tylko rzeczy już techniczne, bo najważniejsza jest dobra wola - powiedział.

Piotr Wielgomas podkreślił, że nie zależało mu „na żadnych spekulacjach” na kupionym od KOWR gruncie. Dodał, że od samego początku był otwarty na porozumienie i rozwiązanie sytuacji. Minister Krajewski pytany, czy będą kolejne dymi-

sje w KOWR w związku z tą sprawą, stwierdził, że kontrola w KOWR jest prowadzona i jeżeli jej wyniki będą dawały do tego podstawę, to takie decyzje będą podejmowane. Dodał, że jeśli będzie potrzeba, będą też kierowane doniesienia do organów ścigania lub prokuratury. Szef resortu rolnictwa zaznaczył, że poza sprawą działki w Zabłotni jest „wiele kwestii”, które były już zgłaszane do prokuratury, były przedmiotem kontroli NIK lub KAS. Jak stwierdził, „te wszystkie kwestie należy wyjaśnić jak najszybciej”.

Jak poinformował w komunikacie KOWR, zwrot działki na rzecz Skarbu Państwa nastą-

pi za pierwotną cenę sprzedaży, czyli 22 mln 760 tys. zł.

Jak poinformowała w ubiegłym tygodniu Wirtualna Polska, w 2023 r., niedługo przed oddaniem władzy przez PiS, Ministerstwo Rolnictwa wydało zgodę na sprzedaż przez KOWR wiceprezesowi firmy Dawtona Piotrowi Wielgomasowi działki o powierzchni 160 ha, przez którą ma przebiegać linia kolei dużej prędkości. Według portalu w 2023 r., ale jeszcze przed transakcją, firmę Dawtona odwiedził ówczesny minister rolnictwa Robert Telus. Ostatecznie transakcja sprzedaży została zawarta 1 grudnia 2023 r., krótko przed oddaniem władzy przez PiS. Według WP wartość działki mogła wzrosnąć nawet kilkunastokrotnie, niebawem mogłaby kosztować nawet 400 mln zł.

We wtorek premier Donald Tusk powiedział, że będzie oczekiwał od ministra sprawiedliwości Waldemara Żurka informacji w sprawie dalszych działań związanych ze sprawą tzw. działek Centralnego Portu Komunikacyjnego. Tego samego dnia wiceminister rolnictwa Adam Nowak poinformował, że w Krajowym Ośrodku Wsparcia Rolnictwa doszło do zmian personalnych, które miały związek ze sprawą sprzedaży działki w Zabłotni, a „nastąpiły na poziomie dyrektorów biura kadr, biura audytu i kontroli”.

Rosja gotowa wesprzeć Wenezuelę rakietami

Kazimierz Sikorski, PAP

Aleksiej Żurawłow, wiceprzewodniczący parlamentarnej komisji obrony Rosji, ostrzegł, że „Amerykanów mogą czekać niespodzianki”, otwierając drzwi do transferu broni do Wenezueli.

„Nie widzę przeszkód, aby dostarczyć zaprzyjaźnionemu krajowi nowe rozwiązania, takie jak Oresznik, czy, powiedzmy, sprawdzone pociski Kalibr” - mówił Żurawłow.

Według Moskwy pocisk Oresznik, może uderzyć w dowolny cel na kontynencie europejskim w niecałą godzinę, jeśli zostanie wystrzelony z Rosji lub Białorusi. Putin twierdzi, że te pociski są tak groźne, że użycie kilku z nich w ataku na konwencjo-

nalnymi głowicami byłoby równie katastrofalne w skutkach, jak atak nuklearny. Oresznik po raz pierwszy użyto w listopadzie 2024 we wschodniej Ukrainie, w Dnieprze, co Putin określił jako odwet za użycie przez Kijów broni dalekiego zasięgu pochodzącej z USA i Wielkiej Brytanii do atakowania celów w Rosji.

Prezydent Wenezueli Nicolas Maduro osobiście zwrócił się do Putina z prośbą o pomoc wojskową w związku ze zwiększoną obecnością wojsk USA na Karaibach. Maduro domaga się od Rosji wzmocnienia obrony powietrznej, w tym o przywrócenie rosyjskich samolotów Suchoj Su-30MK2, które już znajdują się w posiadaniu Wenezueli, oraz zakup 14 zestawów pocisków, donosił „Washington Post”.

Katarzyna Kapusta-Gruchlik

34-letni polityk będzie pierwszym muzułmaninem na czele władz największego miasta Ameryki. Zohran Mamdani głosił, że jego zwycięstwo jest zwycięstwem klasy robotniczej.

Nowojorczyki wybrali burmistrza najważniejszego w Ameryce miasta. Został nim kandydat Demokratów, socjalista 34-letni Zohran Mamdani.

Polityk będzie pierwszym muzułmaninem na czele władz największego miasta Ameryki. Mamdani zapowiedział nastanie „nowego wieku”, a swoje zwycięstwo uznał za wygraną klasy robotniczej.

Urodzony w Ugandzie syn indyjskich imigrantów polityk był zdecydowanym faworytem



Mamdani zgromadził nieco ponad 50 proc. głosów.

FOT. PAP/PEA

sondaży i pokonał byłego gubernatora stanu Nowy Jork Andrew Cuomo oraz republikańskiego działacza społecznego o polskich korzeniach Curtisa Sliwa. Po podliczeniu ponad 90 proc. głosów, Mamdani zgromadził nieco ponad 50 proc.,

podczas gdy Cuomo - 41,5 proc., a Sliwa - 7,2 proc. W głosowaniu uczestniczyło ponad 2 miliony mieszkańców, co najmniej pół miliona więcej niż w poprzednich wyborach.

34-letni deputowany nowojorskiej legislatury określa się jako demokratyczny socjalista, a kampanię oparł o hasła walki z drożyzną. Choć burmistrz Nowego Jorku ma ograniczone uprawnienia, w kampanii obiecał szerokie zmiany w polityce socjalnej m.in. zamrożenie czynszów, darmowe przejazdy autobusem, darmowe żłobki i przedszkola, a nawet należące do miasta sklepy spożywcze.

Wszystkie te obietnice powtórzył podczas zwycięskiego przemówienia, w którym ogłosił, że jego zwycięstwo jest zwycięstwem klasy robotni-

czej, zapowiedział nastanie „nowego wieku” i wprowadzenie „pokolenia zmian”. Cytował przy tym byłego socjalistycznego kandydata na prezydenta Eugene’a Debsa oraz socjalistycznego premiera Indii Jawaharlala Nehru.

- Odkąd pamiętam, pracujący nowojorczyki słyszeli od bogaczy i wpływowych ludzi, że władza nie należy do nich. Palce posiniaczone od podnoszenia pudeł na podłodze magazynu, odciski na dłoniach od kierownic rowerów dostawczych, kostki z bliźniami po oparzeniach kuchennych. To nie są ręce, którym pozwolono dzierżyć władzę - mówił Mamdani.

- Dziś, wbrew wszelkim przeciwnościom, ją uchwyciliśmy - oznajmił.

Nowy Jork wybrał burmistrza. Mamdani to pierwszy muzułmanin na czele tego miasta

Ksiądz z Pomorza. Dyplomata w służbie stolicy apostolskiej

Kraszewo w gminie Stare Pole - Watykan - Harare w Zimbabwe. To w dużym skrócie dotychczasowa droga życiowa ks. Janusza Urbańczyka. To kapłan, dyplomata watykański, obecnie nuncjusz apostolski, czyli ambasador, w kraju na południu Afryki.



Ks. abp Janusz Urbańczyk podczas mszy na XII Zjeździe Absolwentów I LO w Malborku

FOT. RADOŚLAW KONCZYŃSKI

Radosław Konczyński

Ks. Janusz Urbańczyk urodził się w Kraszewie, wiosce między lotniskiem wojskowym a Starym Polem. Gdy widział nad głową samoloty odrzutowe z pobliskiej bazy, nie sądził, że kiedyś też poleci w świat. Został nuncjuszem apostolskim w Zimbabwe, dokąd posłał go papież Franciszek.

Zimbabwe to afrykański kraj graniczący z RPA, Mozambikiem, Zambią i Botswaną. Siedzibą nuncjatury jest stolica państwa, Harare.

- Moją odpowiedzialnością jest reprezentowanie Ojca Świętego w kraju, do którego zostałem posłany. Powiedzmy, że lokalni biskupi widzą we mnie głos papieża, to jest informowanie. To jest też kwestia bycia blisko i pomocy biskupom w pracy i misji, którą muszą wypełniać biskupi - mówi ks. abp Janusz Urbańczyk.

Życie codzienne oczywiście różni się diametralnie od tego, co mamy w Europie.

- Dla Europejczyka najprostsze rzeczy, coś, co dla nas wydaje się oczywiste, w Afryce mogą być problemami. Nie ma na przykład prądu z sieci w ciągu dnia, jest tylko od godz. 22.30 do piątej rano. W pozostałym czasie mamy panele, generatory prądu. Na szczęście, jest dużo słońca, bo 330 słonecznych dni w roku, możemy więc wyprodukować tej energii na tyle, żeby mieć prąd, bo to, co jest w sieci, nie wystarcza. Mamy studnie głębinowe do 110 metrów, ale co z tego, jak wody nie ma, bo wyschła. Jest problem suszy. Problem jest z zasięgiem internetu, telefonii komórkowej. Trzeba więc dostosować się do warunków życia. Lokalni mieszkańcy

wypracowali sobie sposób radzenia sobie w takich realiach, a pierwsze moje spostrzeżenie było takie, że to są naprawdę szczęśliwi ludzie. Niewiele mają, ale jest w nich radość i wdzięczność za to, co posiadają. Jeżeli widzą, że ktoś jest wobec nich szczerzy, naprawdę chce przyjść z pomocą, okazać wsparcie, są wdzięczni, są bardzo otwartymi ludźmi, bardzo to doceniają - mówi ks. Janusz Urbańczyk.

Życie nie jest doskonałe, ale...

Zimbabwe ma około 17 mln ludności. Chrześcijanie stanowią większość wyznaniową, wynoszącą ponad 80 proc. Natomiast katolicy wśród nich są mniejszością, szacowaną na 1,4 mln osób.

- Natomiast Kościół katolicki przez swoją działalność charytatywną, duszpasterską, prowadzenie szkół, szpitali, domów dziecka jest naprawdę rozpoznawalny i ma wielkie znaczenie. Dlatego też, że wypowiada się, zajmuje stanowiska, które są czasami polityczne, żeby mówić na temat biedy, na temat problemów. Biskupi nie boją się podejmować czasami trudnych kwestii i poruszają - podkreśla arcybiskup.

Od strony „zawodowej” jako duchownego uwagę nuncjusza musiał wzbudzić sposób przeżywania liturgii.

- Normalna msza święta trwa półtorej godziny, a inne uroczystości to trzy godziny albo więcej. Kwestia śpiewu liturgicznego, tańca - oni tym żyją. To jest ich czas, czas przeznaczony dla Boga. Samo życie nie jest doskonałe, bo jest wiele problemów, także wiele problemów wynikających z biedy, bezsilności, natomiast to są ludzie, którzy się otwierają. Kwestia wiary

jest dla nich elementem, który jest namacalny. Przeżywają to, żyją tym, to jest aspekt ich codziennego życia, który jest niezmiernie ważny. To nie jest coś z lamusa, coś schowanego, dalekiego, to jest blisko. Liturgii w Zimbabwe w ogóle nie możemy porównywać z Europą, ale myślałem, że to też jest specyfika całej kultury, czy to afrykańskiej, czy nawet w Azji. To są pięknie przeżywane liturgie. My czasami jesteśmy tacy jacyś zimni w przeżywaniu liturgii, nieobecni, oni są aktywni. My jesteśmy ciałem, a duch, głowa bywa gdzieś poza. Natomiast dla nich liturgia to jest całość, ciało i duch - opisuje ks. Janusz Urbańczyk.

Dyplomata może kojarzyć się z pracą za biurkiem w klimatyzowanych pomieszczeniach, ale w tym przypadku utarty obraz nie ma zastosowania. Arcybiskup wyjeżdża w teren, spotyka się z księżmi, wypełnia też normalnie posługę kapłańską. Msze odprawia w nuncjaturze w Harare, a także podczas wizyt w diecezjach.

- Byłem już we wszystkich diecezjach, w bardzo wielu terenach misyjnych. Biskupi zapraszają mnie do nowych miejsc, żeby spotkać się ze wspólnotą wierzącą w różnych zakątkach Zimbabwe. Staram się być aktywny i mieć kontakt z różnymi rzeczywistościami Kościoła lokalnego - wyjaśnia ks. Janusz Urbańczyk.

ONZ, OBWE, Nowy Jork, Wiedeń

Nuncjatura to kolejny szczebel w dyplomatycznej pracy Pomorzanina w służbie Watykanu. Gdyby cofnąć się o około 40 lat, wtedy jeszcze nie wiedział, czy w ogóle będzie księdzem.

- Powołanie to jest kwestia pewnych decyzji, wyborów, które się dokonują, dojrzewają. Byłem ministrem od 8 roku życia, byłem bardzo blisko Kościoła, przy czym też przez moje zajęcia sportowe były różne okresy, które nie do końca przybliżały mnie do tego, żeby pójść do seminarium. Wręcz przeciwnie, do 17 roku życia to była daleka myśl. Natomiast w 17 roku życia nastąpiły bardzo istotne, zwrotne sytuacje. Wydało mi się, że jestem dorosły i podejmowałem pewne wybory, ale uświadomiłem sobie, że to to nie jest właściwe; że popełniam pewne błędy. I to była taka radykalna zmiana, na tyle radykalna, że poszukiwania większego sensu życia sprawiły, że nawet chciałem wstąpić do zakonu klauzulowego. Później była kwestia poszukiwania i dopiero jak miałem 19 lat, kończyłem maturę, zrodziła się myśl: „Idź do seminarium”. Miałem wtedy koleżankę, to nie była narzeczona, tylko koleżanka bliska - i też mówiłem jej, że jest we mnie ta myśl o wstąpieniu do seminarium i muszę zdecydować. I zdecydowałem - opowiada ksiądz Janusz.

Po święceniach kapłańskich w 1992 roku został sekretarzem i kapłanem pierwszego biskupa elbląskiego, Andrzeja Śliwińskiego. Wtedy pojawiła się szansa studiów w Papieskiej Akademii Kościelnej w Watykanie kształcącej księży do służby w dyplomacji Stolicy Apostolskiej. Ukończył ją w 1997 roku, łącząc to z uzyskaniem doktoratu z prawa kanonicznego. Już w 1997 roku dołączył do pracy dyplomatycznej, pracując w różnych krajach, praktycznie na wszystkich kontynentach. Najpierw jako pracownik nuncjatur, a od 2012 roku jako re-

prezentant papieża przy organizacjach międzynarodowych. Zaczynał w ONZ w Nowym Jorku, gdzie przez prawie trzy lata był pierwszą radcą w Przedstawicielstwie Stałego Obserwatora Stolicy Apostolskiej. Później przez dziewięć lat w Wiedniu, będąc stałym przedstawicielem Stolicy Apostolskiej przy Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej (MAEA), Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (OBWE) oraz przy Komisji Przygotowawczej Organizacji ds. Traktatu o Całkowitym Zakazie Próby Jądrowych, a także stałym obserwatorem przy agendzie ONZ ds. Rozwoju Przemysłu i przy Biurze ONZ.

- To były dla mnie czasy zdobywania wiedzy. Praca przy organizacjach międzynarodowych jest trudną, ale też jest bardzo ciekawą w zdobywaniu szlifów dyplomatycznych, które były bardzo istotne w rozumieniu pewnych zmian, pewnych sytuacji na świecie - mówi ks. Janusz Urbańczyk. - Stolica Apostolska przy ONZ jest obserwatorem, ale obserwatorem czynnym, to znaczy, że też uczestniczy w tworzeniu pewnych dokumentów. Gdy byłem w Nowym Jorku, też uczestniczyłem w różnych negocjacjach, w tym przez prawie dwa lata zajmowałem się Radą Bezpieczeństwa - chodziliśmy, słuchaliśmy, pisaliśmy raporty; to była kwestia rozumienia pewnych decyzji politycznych na poziomie światowym. W Wiedniu też braliśmy czynny udział w organizacjach. Decyzja czy nawet pozycja Watykanu jako pełnoprawnego członka jest też ważna. Przedstawialiśmy pozycje odnośnie różnych kwestii związanych z tym, co się dzieje na świecie. Czasami nasze stanowiska były przyjmowa-

wane, czasami kraje nie do końca się zgadzały, ale to jest normalny proces negocjowania, dyskusji na temat różnych dokumentów.

Jest nadzieja

Arcybiskup przemierzył świat. Aż chce się zapytać o kondycję człowieka, o to, czy... świat oszalał, czy jest nadzieja.

- Nie można mieszać pojęć. Świat w jakiś sposób „oszalał”, ale o której części świata mówimy? My patrzymy z pozycji Europejczyka, a spojrzenie Europejczyka na wiele kwestii politycznych czy religijnych nie jest spojrzeniem całego świata. Myślę, że to jest kwestia zrozumienia pewnych procesów i pojęć. To, że my gdzieś przeżywamy, że są trudne sytuacje na świecie, to faktycznie niestety dokonują się pewne zmiany cywilizacyjne, które nie są do końca właściwymi i to prowadzi do trudności, frustracji, niepewności czy strachu. Natomiast myślę, że jest duży pokład nadziei. Dla chrześcijan, dla katolików to jest kwestia takiej nadziei, że kołwiek człowiek by nie potrafił zniszczyć, Bóg potrafi wyprowadzić z tego dobro. Trzymajmy się nadziei i tego, żeby wierzyć, że Bóg będzie tym, który zaprowadzi - radzi nuncjusz apostolski w Zimbabwe.

Ksiądz Urbańczyk nuncjaturę w Zimbabwe objął ponad półtora roku temu. Obecnie przebywa na pierwszym długim urlopie w rodzinnych stronach. Spotkali się przy okazji obchodów 80-lecia I Liceum Ogólnokształcącego im. Henryka Sienkiewicza, którego jest absolwentem. W minioną sobotę, podczas XII Zjazdu Absolwentów, odprawił mszę świętą, zrestą z innym absolwentem - Wojciechem Skibickim, nowym biskupem elbląskim.

Rozmowa

Książka

„Saleta. Przemysław Saleta
w rozmowie z Aldoną Sosnowską-Szczuką”jest opowieścią o odwadze,
o tym, żeby nie bać się marzyć.**Sport****nauczył mnie****walczyć, życie****nauczyło mnie****odpuszczać**

Był mistrzem w ringu, dziś szuka mistrzostwa w codzienności. Przemysław Saleta opowiada o drodze, która prowadzi od rywalizacji do równowagi, od siły do spokoju. Mówi o duchowości, ojcostwie, o tym, co naprawdę znaczy wygrać - i dlaczego czasem najtrudniejszą walką jest ta, którą tocymy z samym sobą.

Jolanta Tęcza-Ćwierz

Mnich w Tajlandii powiedział, że Pana żywiołem jest powietrze - żywioł ludzi niespokojnych, poszukujących. Ile w tym było egzotyki, a ile prawdy o Panu samym?

Nie wierzę we wróżki ani w żadne wróżenie z kart, ale będąc w Tajlandii, postanowiłem zrobić sobie tatuaż z mocą - część rytuału, który opierał się na bardzo głębokiej analizie psychologicznej i okazał się zaskakująco prawdziwy. Zawsze byłem człowiekiem, którego bardziej pociąga odkrywanie czegoś nowego niż obrona tego, co już ma. Sama droga do celu często była dla mnie ciekawsza i bardziej ekscytująca niż jego osiągnięcie. Musiało to być widoczne w książeczkach mnicha, na podstawie których usłyszałem, że moim żywiołem jest powietrze.

W jaki sposób odbył się ten rytuał?

Najpierw spotkałem się z mnichem w obecności tłumacza. Musiałem podać datę urodzenia i opowiedzieć, czym się zajmuję. Mnich zaglądał do swoich książek, a potem zaczął mówić o mnie rzeczy tak trafne, jakby mnie dobrze znał. Nie tylko ja miałem takie wrażenie - w czasie czterech lat, które spędziłem w Tajlandii, kilku moich znajomych również przeszło ten rytuał i mnich nigdy się nie pomylił. Niektóre osoby płakały, słysząc prawdę o sobie. Całość miała oczywiście azjatycki charakter - była bardzo delikatna, spokojna, bez oceniania. Mnich pytał, z jaką intencją ktoś przychodzi, bo zwykle ludzie chcą tatuażu-amuletu, który ma im pomóc w konkretnych problemach. Tatuaż robi się zawsze na plecach, według wzoru, który wskazuje mnich - to on decyduje, co dana osoba otrzyma. Potem odbywa się rytuał modlitwy i na końcu ceremonia. Całość trwa około pięciu, sześciu godzin.

To musiało być mocne doświadczenie.

Tak, i sporo mi dało. Wykorzystałem to później w życiu. Bardzo cenię święty spokój i równowagę wewnętrzną. Mnich, u którego byłem, opuścił klasztor - jego misją stała się pomoc biednym i... tworzenie tatuaży. W jego domu panowała wyjątkowa, spokojna atmosfera. Zaprzyjaźniłem się z nim i z jego tłumaczem - Amerykaninem, byłym wojskowym, który brał udział w misjach w Afganistanie i Iraku. Mówił, że praca z mnichem pozwoliła mu

przepracować wojenne doświadczenia. Gdy sam potrzebowałem spokoju i poukładania sobie pewnych rzeczy w głowie, przychodziłem tam, siadałem, piłem herbatę i wyciszałem umysł.

Powiedział Pan, że ceni święty spokój i równowagę. Jak to pogodzić ze sportami walki?

Skupienie na celu wcale nie kłóci się z pragnieniem świętego spokoju. Przed walką niektórzy zawodnicy krzyczą, robią zamieszanie w szatni, żeby się pobudzić, a ja zawsze potrzebowałem ciszy. Dzięki temu mogłem sobie wszystko ułożyć w głowie - taktykę, przebieg walki - i skupić się. Hałas mi przeszkadzał. W życiu mam podobnie. Czasem żartuję, że jak wyjechałem do Tajlandii, odkryłem, że z natury jestem buddystą. Żyję dniem dzisiejszym. Nie rozpamiętuję tego, co było wczoraj, bo już tego nie zmienię. Wyciągam wnioski, ale nie wracam do przeszłości. Nie wybiegam też za bardzo w przyszłość, bo wszystkiego nie da się przewidzieć, a szarpanie się z losem przynosi tylko stres i frustrację. Ludzie często sami nakładają na siebie presję, myśląc, że inni czegoś od nich oczekują. A przecież powinniśmy wymagać od siebie tylko tego, czego sami naprawdę chcemy. W budyzmie - inaczej niż w chrześcijaństwie - nie ma nieba, piekła ani czyśćca. Celem jest dobre życie, bycie szczęśliwym i pomaganie innym. Z jednym zastrzeżeniem: jeśli sam potrzebujesz pomocy, najpierw pomóż sobie. To bardzo ważne, bo kiedy człowiek lepiej rozumie siebie, może dać innym znacznie więcej.

Dlatego, kiedy Pana córka potrzebowała nerki, bez wahania oddał jej Pan swoją? W opinii wielu ludzi był to ogromny gest, większy niż jakikolwiek sportowy wyczyn.

To był zupełnie naturalny odruch - chęć pomocy komuś, kogo się kocha. Nieważne, czy chodzi o dziecko, partnerkę czy rodzica. Jeśli możesz pomóc, to po prostu pomagasz. Do dziś czasem słyszę wyrazy podziwu, których szczerze mówiąc, nie rozumiem, bo dla mnie to była zupełnie normalna decyzja. Oddanie nerki było czymś oczywistym, zero-jedynkowym, bez chwili wahania. Jedyne, czym się wtedy martwiłem, to czy przejdą badania lekarskie - organizm miałem mocno wyeksploatowany po latach sportu zawodowego. Na szczęście wszystko się udało. Dziś nie wracam do tego wydarzenia w sensie emocjonalnym - raczej opo-

wiadam o tym z dystansem, w formie anegdot. Wiem też, że dla moich bliskich to był dramatyczny czas, szczególnie gdy po operacji były komplikacje i zapadłem w śpiączkę. Na szczęście przetrwaliśmy to razem.

Nie miał Pan obaw, że po tej decyzji nie będzie Pan mógł już uprawiać sportu, że życie się zmieni?

Nie, ale nawet gdybym miał takie obawy, i tak bym się nie zawahał. To była końcówka mojej kariery, miałem wtedy 39 lat i świadomość, że w życiu są rzeczy ważne i ważniejsze. O problemach zdrowotnych córki dowiedziałem się w 2006 roku. Wtedy o przeszczepach prawie się nie mówiło, ja też niewiele o tym wiedziałem. Lekarze sugerowali, żeby pierwszy przeszczep zrobić od zmarłego dawcy, a moje nerki zostawić „na później”. Ale na początku 2007 roku zdecydowałem, że oddam swoją. Zacząłem czytać, szukać informacji i dowiedziałem się, że polska transplantologia stoi na bardzo wysokim poziomie. To mnie ostatecznie uspokoiło. Decyzję podjąłem bez stresu, choć może mam trochę sportowego skrzywienia, bo czuję ekscytację, gdy coś się dzieje i może wiązać się z ryzykiem.

W książce („Saleta. Przemysław Saleta w rozmowie z Aldoną Sosnowską-Szczuką” - red.) wydzielili Pan „dwanaście rund” - tyle, ile w typowej walce bokserskiej. Gdyby dziś miał Pan wziąć udział w tej ostatniej, symbolicznej rundzie swojego życia, z jakim przeciwnikiem chciałby się Pan zmierzyć?

Rzeczywiście, jestem już na etapie, w którym karierę sportową mam za sobą, dzieci są dorosłe, więc mogę wreszcie bardziej skoncentrować się na sobie i swoich potrzebach - także tych wynikających z wieku. Po covidzie miałem pewne problemy zdrowotne i zacząłem interesować się biohackingiem oraz długowiecznością. Jeśli mam myśleć o „ostatniej rundzie”, to chciałbym jak najdłużej utrzymać pełną sprawność fizyczną i dobre zdrowie. Mam 57 lat i wiem, że wymaga to więcej pracy, wiedzy i inwestycji, ale jest jak najbardziej możliwe. Samo słowo „długowieczność” jest trochę mylące - mnie nie chodzi o to, żeby żyć wiecznie. Wiem, że każdy z nas kiedyś umrze i nie mam z tym problemu. Zależy mi na jakości życia. Nie wyobrażam sobie sytuacji, w której moją jedyną rozrywką byłoby oglądanie telewizji i jedzenie. Dla mnie ważne są ruch, ak-

tywność, nauka, treningi i dbanie o siebie. Staram się też dzielić tą wiedzą z innymi - pokazywać, że można żyć zdrowo, świadomie i z pasją. Wykorzystuję swoje doświadczenie sportowe i znajomość własnego organizmu, prowadząc wykłady motywacyjne i zachęcając ludzi do aktywności.

Jak w Pana życiu wygląda „runda regeneracyjna”? Ma Pan konkretne rytuały, które pomagają jak najdłużej zachować sprawność fizyczną i umysłową?

Badania pokazują, że kluczem do zachowania sprawności po siedemdziesiątym roku życia jest systematyczny ruch. Najlepiej zacząć po trzydziestce, ale lepiej zacząć nawet po sześćdziesiątce niż wcale. Ja trenuję regularnie, dużo i ciężko, bo inaczej nie potrafię. Choć oczywiście z czasem zmieniło się moje podejście. Kiedyś, w latach zawodowego boksu, chodziło o osiągnięcie szczytowej formy na konkretnym termin walki. Dziś celem jest zdrowie, dobre samopoczucie i wygląd. Dlatego treningi mam bardziej zróżnicowane - bez ekstremalnych obciążeń, ale nadal intensywne. Na siłowni nie podnoszę już wielkich ciężarów, bo nie chcę ryzykować kontuzji. Robię krótkie przerwy między seriami, więcej się rozciągam, pracuję nad mobilnością. Zwracam też uwagę na regenerację „od środka”. Kluczowe jest, by organizm miał czas na wymianę komórek - dlatego stosuję deficyt kaloryczny i okresowe głodówki. Podczas takich przerw uruchamia się proces autofagii, czyli naturalnego „sprzątania” starych lub chorych komórek. Odżywiam się niskowęglowodanowo, co w połączeniu z treningami sprawia, że mój organizm często przechodzi w lekką ketozę - wtedy czerpie energię głównie z tłuszczów, a nie z cukrów. Starannie dobieram to, co jem. Wspomagam się witaminami i kreatyną, która działa nie tylko na mięśnie, ale też na mózg. Dużo czasu spędzam na świeżym powietrzu i w naturalnym świetle. No i cały czas się uczę - próbuję nowych rzeczy, bo to najlepszy trening dla głowy. Mózg, tak jak mięśnie, musi pracować, żeby pozostać elastycznym.

Jako sportowiec wielokrotnie doświadczał Pan ekstremalnych obciążeń fizycznych. Kiedy organizm mówił „dość”, a Pan musiał się poddać? Czego nauczył Pana to odkrycie o granicach ludzkiej wytrzymałości?

Zawsze miałem w sobie potrzebę trenowania jak najwięcej. Rolą mojego trenera -

sto było to, żeby mnie hamować. Dziś wiem, że w wieku dwudziestu czy trzydziestu lat trenowałem za dużo. Gdybym wtedy trochę odpuścił, osiągnąłbym pewnie podobne efekty, a mniej wyniszczyłbym organizm. Wtedy jednak wydawało mi się, że robię wszystko właściwie. Od czterdziestu lat zajmuję się sportem i swoim ciałem, więc dobrze je znam. Wiem, jak reaguje na obciążenia, co mu służy, a co nie. Nie potrafię jednak trenować „lekką” - jeśli mam ćwiczyć bez zaangażowania, wolę usiąść z książką. Dlatego zawsze idę blisko granicy możliwości. Ale nauczyłem się też słuchać sygnałów ciała. Kilka lat temu, po problemach zdrowotnych, przez prawie rok nie trenowałem. Bałem się powrotu, bo regeneracja po pięćdziesiątce to zupełnie inna historia. Okazało się jednak, że jeśli zwiększa się obciążenia stopniowo, ciało potrafi zaskoczyć. Trzeba tylko uważać, bo organizm z wiekiem mniej wybacza. W młodości mogłem iść na imprezę, a rano trenować jak gdyby nigdy nic. Dziś tak się nie da. Nie piję alkoholu, dbam o dietę i regenerację, bo wiem, że każda przesada kosztuje. Ale też mnie to bawi - traktuję to jako kolejne doświadczenie. Ujęć się, dostosowuję, obserwuję siebie. W końcu po raz pierwszy w życiu mam 57 lat, prawda? Sport nauczył mnie analizy. Sukces wymaga nie tylko trenera, ale też refleksji nad sobą - nad tym, co poszło dobrze, a co można poprawić. To się nie zmieniło. Zmieniły się tylko cele.

W książce mówi Pan o tym, jak walczyć i nigdy się nie poddawać. A przed chwilą wspomnieliśmy o odpuszczeniu. Kiedy po raz pierwszy nauczył się Pan rezygnować z walki, by ocalić coś ważniejszego?

Jeśli mówię o walce, mam na myśli sport. W życiu walka nie ma sensu. Każdy z nas jest swoim największym przeciwnikiem - i tylko z samym sobą warto się czasem zmierzyć. Poza tym, nie chcę od nikogo niczego, czego ten ktoś nie chce mi dać. Nie wpycham się na siłę, nie walczę o rzeczy, które nie zależą ode mnie. Jeśli coś jest dla mnie ważne i mam na to wpływ, wtedy daję z siebie wszystko. Trzeba żyć w zgodzie z rzeczywistością. Czasem człowiek o czymś marzy, ale w pewnym momencie musi przyznać, że nie da rady - brakuje czasu, talentu, możliwości. I wtedy lepiej zmienić cel, niż walić głową w mur. Podam przykład. Kiedy przeszedłem na boks zawodowy, byłem przekonany, że w półtora roku zostanę mistrzem świata w wadze cru-

iserweight. Szybko się okazało, że to nie takie proste. Doszedłem do czwartego miejsca na świecie, ale coraz trudniej było mi utrzymać limit wagowy, więc przeszedłem do wagi ciężkiej. Wtedy zrozumiałem, że w tej kategorii mistrzem świata nie zostanę - fizycznie miałem swoje ograniczenia. Zmieniłem więc cel. Postawiłem na mistrzostwo Europy. Udało się - i to dało mi pełne poczucie spełnienia, także w boksie, nie tylko w kick-boxingu. Gdybym uparcie dążył do tytułu mistrza świata w wadze ciężkiej i nigdy go nie zdobył, pewnie byłbym dziś zgorzkniały. A tak wiem, że czasem warto skorygować swoje marzenia - nie po to, żeby z nich rezygnować, ale żeby lepiej je dopasować do swoich możliwości.

Jak zmieniała się Pana definicja zwycięstwa - od momentów, gdy liczył się wynik, do chwil, gdy liczy się sens i autentyczność?

Dla mnie sens i autentyczność zawsze były ważniejsze niż sam wynik. Już sam wybór drogi sportowca był pójściem za głosem serca, a nie rozsądku. Studiowałem handel zagraniczny na SGH, więc mógłbym obrać bezpieczną ścieżkę ekonomisty. Zdecydowałem się jednak na sport - z pełną świadomością, że to ryzykowna decyzja, bez żadnych gwarancji sukcesu. Ale kiedy człowiek robi coś z pasją i oddaje temu całe serce, to nawet trudne decyzje stają się właściwe. Z perspektywy czasu oczywiście widzę, że niektóre rzeczy mogły potoczyć się inaczej, ale nie żałuję żadnej z nich - ani dobrych, ani złych. Wszystko, co zrobiłem, doprowadziło mnie do miejsca, w którym jestem. I do tego, kim jestem. A ja siebie lubię. Może to brzmi banalnie, ale to bardzo buddyjskie podejście: żyć dobrze, dzielić się z innymi i pomagać im, kiedy można. Ważne jednak, żeby ta pomoc była szczerą - żeby nie wynikała z potrzeby poprawienia własnego samopoczucia czy wizerunku. Pomaganie z potrzeby serca ma sens, pomaganie „dla siebie” - już nie.

W naszej rozmowie powraca wątek duchowości i wewnętrznej drogi. Czy są w Pana życiu momenty, które dziś uznaje Pan za doświadczenia mistyczne?

Było kilka takich momentów. Najbardziej pamiętam walkę z Carlem Williamsem w 1994 roku. Wydawało się, że wygram ją bez problemu, a tymczasem bardzo się myczyłem i przegrywałem. Byłem wtedy

czwarty w rankingu światowym - przegrana oznaczałaby duży spadek. Trzy miesiące wcześniej urodziła mi się córka. W przerwie po szóstej rundzie, wracając zakrwawiony do narożnika, uświadomiłem sobie, jaka odpowiedzialność na mnie ciąży - wobec niej, wobec rodziny i samego siebie. I to mnie niesamowicie zmotywowało. Wygrałem wszystkie kolejne rundy i całą walkę na punkty. To był moment, w którym zrozumiałem, że człowiek ma w sobie dużo więcej siły, niż mu się wydaje. Czasem wystarczy znaleźć w sobie właściwą motywację. Drugie takie doświadczenie przeżyłem po oddaniu nerki, kiedy po operacji byłem w śpiączce. Gdy się obudziłem i usłyszałem, że otarłem się o śmierć, dotarło do mnie, jak kruche jest życie. Możemy odejść w każdej chwili, zupełnie niespodziewanie. Dlatego nie warto odkładać życia na później - trzeba być z ludźmi, których się kocha, robić rzeczy, które mają sens, i nie tracić czasu na to, co nieistotne.

Kiedy patrzy Pan dziś na młodego Saletę, stojącego u progu kariery, co by mu Pan powiedział jako ten, kto przeszedł tyle walk - w ringu i poza nim?

Powiedziałbym mu to samo, co mówię moim córkom. Nigdy nie narzucałem im decyzji, nawet gdy były dziećmi. Zawsze mogły próbować, ale wiedziały, że muszą wziąć odpowiedzialność za konsekwencje swoich działań. Dziś obie robią to, co kochają, i biorą za to pełną odpowiedzialność. Mamy bardzo bliskie, przyjacielskie relacje, oparte na zaufaniu. Najszczęśliwsze momenty w moim życiu to chwile, kiedy rodziły się moje dzieci. I od początku chciałem im przekazać jedną rzecz - że pasja w życiu jest najważniejsza. Jeśli uda się ją połączyć z pracą, to nigdy nie będzie się miało poczucia, że się pracuje. Tak też wygląda moje życie. Wszystko, czym zarabiam na życie, sprawia mi przyjemność - robiłbym to nawet za darmo. Wracając do pytania: młodemu sobie nie miałbym zbyt wiele do doradzania. Podejmowałem decyzje, które - z perspektywy tych 57 lat na Ziemi - miały sens.

Jaki przekaz płynie z Pana książki?

To książka o odwadze - o tym, żeby się nie bać marzyć i nie bać tych marzeń realizować. Nawet jeśli nie wszystko się uda, sama droga do celu może być źródłem ogromnej satysfakcji. Bo to właśnie ona nas kształtuje i uczy najwięcej.

O dwóch takich, co ukradli aktorstwu jego sztuczność

George Clooney i Marek Kondrat podczas Igrzysk Wolności w Łodzi spotkali się z publicznością, odpowiadali na liczne pytania, opowiadali anegdoty, ale przede wszystkim zapewniali, że pozostawanie w zgodzie ze swoimi przekonaniami i wartościami to najlepsza recepta na zadowolenie i spełnione życie.

Dariusz Pawłowski

George Clooney i Marek Kondrat (by trzymać się kolejności alfabetycznej) jako aktorzy osiągnęli to, co jest uznawane za wyznacznik sukcesu w tym zawodzie - sympatię i wielką popularność. Obaj też wzbogacili działalność artystyczną politycznością na innych polach.

Panowie minęli się niedawno na Igrzyskach Wolności w Łodzi. Mieli spotkania z publicznością, w tej samej sali hali Expo, lecz w różnych terminach. George Clooney był dzień wcześniej, zauważył to Marek Kondrat: - Szkoda, że kolega wyszedł, tak to już jest z tymi hollywoodzkimi aktorami, że jak przechodzimy do poważnych rzeczy, to ich nie ma. A powiedziałbym mu, że mam dłuższą aktorską historię niż on, bo byłem na ekranie już jako dziesięciolatek - stwierdził z uśmiechem. Cóż, Clooney może sobie pozwolić na dorobek mniejszy, ponieważ jego aktorska aktywność obejmuje rynek większy. Amerykańska popkultura rządziłaby przecież światem.

Łatwo się było o tym przekonać, obserwując reakcje na widok George'a Clooneya zgromadzonych w Łodzi lokalnych i stołecznych celebrytów oraz osobistości różnych branż: od kultury po politykę. Platformy społecznościowe zawrzały, „tu byłem”, „stałem blisko, zatem jestem VIP-em” - zostało odnotowane. Amerykański gwiazdor, pobrawszy honorarium, sympatycznie i z uśmiechem wszystkie te „fety i fajerwerki” znoślił, bo to jeden ze stałych elementów jego zawodu, bezwzględnie wpisany w funkcjonowanie aktora w przestrzeni publicznej. Clooney zaimponował także czymś, czego w pełni wyreżyserować i wyuczyć się nie da - charyzmą, pozwalającą mu w szybki i naturalny

sposób zawładnąć zgromadzonymi na sali uczestnikami spotkania. Również charakterem, dzięki któremu wznosi się ponad jedynie bycie gwiazdą i wykorzystuje swoją popularność oraz związaną z nią pewną sztuczność funkcjonowania do działalności mającej realny wpływ na poprawę losu niemałej grupy ludzi. Życie prawdziwe (jakkolwiek to rozumiemy), dopełniające pochłonięcie aktorstwem - ta potrzeba w znaczący sposób łączy hollywoodzkiego i polskiego aktora.

- Z biegiem lat coraz bardziej zaczęła mi doskwierać właśnie sztuczność wpisana w zawód aktora - przyznał bez ogródek Marek Kondrat, mówiąc o tym, dlaczego z aktorstwa się wycofał, ciesząc się zarazem entuzjastycznym przyjęciem w Łodzi przez publiczność. - Żyłem w niej właściwie od dziecka, bo przecież pochodzę z rodziny aktorskiej i ciągle w naszym domu gościli aktorzy. Jako dziesięciolatek zagrałem w filmie „Historia żółtej ciżemki”, który sprawił, że nie byłem już zwykłym chłopakiem, jak moi koledzy, tylko wołano za mną Wawrzek, co kosztowało mnie potem na podwórku sporo potu i krwi... Odarto mnie z baśni przysługującej dziecku, bo zobaczyłem kulisy. I tak zawsze wyprzedzałem życie sztucznością, kostiumem, nierealnością sytuacji. Moja potrzeba tak zwanej normalności zaczęła więc we mnie kiełkować dość wcześnie i narastała z wiekiem. Nie krytykuję przy tym mojego minionego zawodu, bo on mi wiele podarował.

Marek Kondrat wybrał smakowanie życia. Najpierw próbując rozkręcić wraz z Bogusławem Lindą, Zbigniewem Zamachowskim i Wojciechem Malajkatem sieć restauracji (jedna z nich powstała w Łodzi przy ulicy Piotrkowskiej). Później odkrywając świat wi-

na - w stabilizacji zaś pomógł kontrakt reklamowy z jednym z banków, który trwa już 27 lat.

- Pojechałem na kurs winiarski i tam usłyszałem o produkcji wina, która wydała mi się niezwykle pociągająca przez swój związek z naturą, swoją powtarzalność, bliiski życia cykl, bez amplitudy nastrojów, których dostarczał mi mój zawód. To mnie bardzo pociągnęło i poczułem, że to może być moje nowe miejsce.

Zamiana sztuczności na życie w pełni jego smaku obfituje też w kolejne decyzje.

- W moim życiu zajmowałem się głównie miłością, kochałem mniej więcej od szesnastego roku - wyznał. - O kolejne tytuły, w których występowałem, zabiegałem mniej, może dlatego ten zawód tak dużo mi dał. Dzisiaj w życiu nie opieram się instynktowi, ufam mu. Staram się postępować uczciwie, być człowiekiem otwartym, ale też nie przedłużam na siłę rzeczy, które nie mają w sobie interesującej mnie żywotności. W związku z tym nie odczuwam szczególnego wpływu czasu. Mam siedmioletnią córeczkę, która niedawno zapytała mnie: tatusiu, dlaczego jesteś taki stary? Moja córka ma braci w wieku mniej więcej pięćdziesięciu lat i mają bardzo dobre kontakty. Czasem sobie siadamy wspólnie przy stole i jest wesoło. Ale wydaje mi się, że dopóki poruszam kończynami i komunikuję się ze sobą moje komórki mózgowe, to nie widzę powodu, żeby nie uczestniczyć w tym życiu aktywnie.

George Clooney wybrał inną aktywność. Od 2014 roku jego żoną jest Amal Clooney, z domu Alamuddin. Prawniczka, aktywistka, działaczka społeczna. Wspólnie prowadzą fundację Clooney Foundation for Justice, która stawia sobie za cel przeciwdzia-

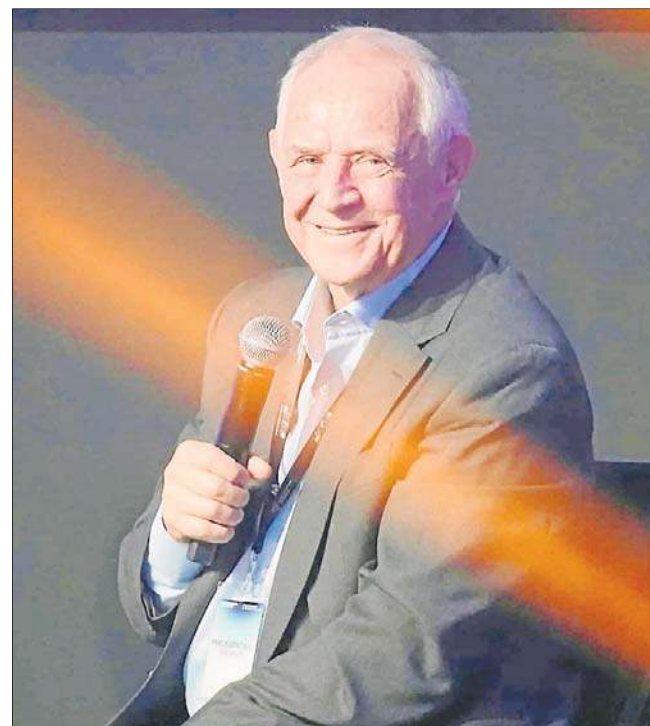
łanie niesprawiedliwości na salach sądowych, w społecznościach oraz w salach lekcyjnych na całym świecie. Wiele działań małżonkowie podejmują w ogarniętym wojną domową Sudanie.

- Nikt nie myślał o Sudanie, gdzie mordowano setki tysięcy ludzi - wyjaśniał George Clooney w Łodzi. - Nikt nie myślał o prawach kobiet. Jako gwiazda mogłem to wykorzystać, naświetlić, zainteresować innych tą tragedią. Staram się, jak mogę, by pomagać słabszym i stawiać opór ludziom, którzy mają dużo władzy i to wykorzystują. Amal doprowadziła kilku złoczyńców przed trybunał w Hadze. To, z czego jestem bardzo dumny, to liczba dziennikarzy, jakich byliśmy w stanie wyciągnąć z więzienia. To była duża satysfakcja, bo nie zdarza się to zbyt często, a ja mam w tym swój udział. Ale to Amal powinna zostać prezydentem - dodał.

Wielkie problemy świata to jedno, ale sytuacja w krajach ojczystych obu aktorów zajmuje w sposób szczególny. Clooney należy do reprezentantów Hollywood, którzy najostrej krytykowali poczynania prezydenta Donalda Trumpa.

- Rząd nazywał mnie zdrajcą kraju. Fox News odmawiał mi patriotyzmu. Ale nic nie jest dane na zawsze, to się zmienia wraz z nadejściem wyborów. Właśnie na tym polega demokracja - zaznaczył aktor. - Demokracja, i w Polsce chyba to rozumiecie, jest jak wojna. Musimy ją toczyć. Demokracja nie zdarza się przypadkiem. Musisz przemawiać, występować, musisz protestować, opowiadać się po stronie swoich przekonania i ponosić konsekwencje takiej postawy. I musimy cały czas stawiać wyzwania przed tymi, którzy są u władzy.

Marek Kondrat przez lata również nie krył swoich po-



FOT. KRZYSZTOF SZYMCAK

FOT. KRZYSZTOF SZYMCAK

głódów i wyraźnie przedstawiał sympatie polityczne.

- Wraz z wiekiem nabieram jednak dystansu do społecznych i politycznych emocji - przyznał. - Mam w sobie więcej tolerancji. Każdy etap życia coś nam odbierając, zarazem nam coś daje. Sztuką jest się z tym pogodzić i z tego korzystać. Co nie znaczy, że to, co się dzieje w moim kraju, staje mi się obojętne. Ale nie mam już potrzeby tak silnego angażowania się jak niegdyś.

Podczas spotkania na Igrzyskach Wolności polityków wspominał właściwie tylko raz.

- Gdy powstawała w Łodzi „Historia żółtej ciżemki”, mieszkaliśmy razem z mamą w Grand Hotelu - przypomniał. - W tym samym czasie mieszkali tam jeszcze inni chłopcy, Jarosław i Lech Kaczyńscy, którzy występowali w filmie „O dwóch takich, co ukradli księżyc”. Sporo czasu spędziliśmy wtedy razem. I je-

dyne, czego dziś żałuję to, że bracia Kaczyńscy nie wybrali aktorstwa.

George'a Clooneya i Marka Kondrata, mimo funkcjonowania w dwóch odmiennych światach, łączy poczucie spełnienia. Zawodowego, finansowego, osobistego. Choć nic nie muszą, starają się pozostać aktywni na różnych polach. I łatwiej niż wcześniej mówią o wartościach.

- Pozostać sobą, ze swoją energią, w zgodzie ze swoimi przekonaniem. W otwartości i zrozumieniu dla drugiego człowieka. W radości z życia - mówił o swoich priorytetach i filozofii Marek Kondrat, ale z pewnością podpisałby się pod tym i George Clooney, mimo iż wcześniej wyszedł i odleciał prywatnym odrzutowcem do Los Angeles, z krótką wizytą w Paryżu.

Sobie i Państwu, celebrującym godziny w miejscach pracy, mogą natomiast tego pocucia serdecznie życzyć.

Czarny Czwartek. Komuniści masakrują ludzi na Wybrzeżu

17 grudnia 1970 roku wobec strajkujących robotników na Wybrzeżu PRL-owskie władze postanowiły użyć wojska. Skończyło się masakrą w Gdyni i Szczecinie.

Wojsko na ulicach Gdańska, grudzień 1970 r. W wyniku pacyfikacji na Wybrzeżu zginęło co najmniej 45 osób, a 1165 zostało rannych.

Lucjan Strzyga

Strajki i demonstracje rozpoczęły się już 14 grudnia. Wybuchły po tym, jak władze zdecydowały się na podniesienie cen artykułów spożywczych nawet o kilkadziesiąt procent. Najpierw zastrajkowali robotnicy ze Stoczni Gdańskiej im. Lenina, potem fala rozeszła się dalej.

Skala protestów zaskoczyła komunistów. 14 grudnia robotnicy Stoczni Gdańskiej im. Lenina odmówili podjęcia pracy i tłum przed południem udał się pod pobliską siedzibę Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Robotnicy zażądali spotkania z ówczesnym pierwszym sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego PZPR Stanisławem Kociołkiem, a od dyrektora stoczni Stanisława Zaczka podjęcia negocjacji w sprawie cofnięcia podwyżek. Reakcja władz była stanowcza: postulaty zostały zignorowane i jeszcze tego dnia doszło do pierwszych starć z MO.

Padają strzały

Następnego dnia, 15 grudnia, ogłoszono strajk powszechny. Przyłączyły się do niego inne gdańskie przedsiębiorstwa, robotnicy ze Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni oraz pracownicy elbląskiego Zamechu. Ukonstytuował się też pierwszy komitet strajkowy: Zbigniew Jarosz (przewodniczący), Jerzy Górski (zastępca przewodniczącego), Stanisław Oziębło, Ryszard Podhajski, Kazimierz Szoloch, Lech Wałęsa i Zofia Zejser. Żądano m.in. uwolnienia aresztowanych wcześniej działaczy. Robotnicy kontynuowali

marsz i przemieszczając się pod budynek KW PZPR na wcześniej zapowiadany wiec, napotkali oddziały MO. Władze, nie chcąc dopuścić demonstrantów pod budynek partii, podjęły decyzję o użyciu pałek i gazu łzawiącego. W efekcie doszło do walk ulicznych i starć z milicją, a w końcu, późnym wieczorem 15 grudnia, do podpalenia budynku KW PZPR w Gdańsku. Ogłoszono strajk okupacyjny, a wojsko i MO zablokowały stocznie.

W samym mieście trwały gwałtowne starcia z milicją. Ok. godz. 16 przed dworcem kolejowym został zastrzelony przez snajpera przypadkowy człowiek. Świadkowie twierdzili, że strzał padł od strony wiaduktu Błędnik, gdzie nie było wtedy ani wojska, ani milicji, musiał więc strzelać snajper, ulokowany prawdopodobnie w wieżowcu Centrum Techniki Okrętowej przy Błędniku.

Wojsko na ulicach

Przez cały dzień 16 grudnia strajk rozszerzał się na kolejne zakłady na Wybrzeżu. Stocznia Gdańska została otoczona przez wojsko. Ludzie, którzy próbowali się do stoczni zbliżyć, byli brutalnie bici. Nad ranem, gdy stoczniovcy przez bramę nr 2 próbowali wyjść na miasto, aby po raz kolejny wziąć udział w demonstracjach, zostali ostrzelani przez milicjantów. Według oficjalnych ustaleń zginęły wówczas kolejne dwie osoby, a 11 zostało rannych. Strajkujący wycofali się na teren swojego zakładu.

Tego dnia do Trójmiasta wkroczyło też wojsko, na ulicach pojawiły się czołgi i trans-

portery. Kierujący akcją pacyfikacji Wybrzeża członek Biura Politycznego KC PZPR Zenon Kliszko oświadczył dyrektorowi i członkom stoczniovej partii: „Mamy do czynienia z kontrrewolucją i nieważne jest, że zginie 200 czy więcej stoczniovców. Stocznia zostanie zburzona, a na gruzach starej zbudujemy nową”.

Czarny Czwartek

17 grudnia władze zdecydowały się wykorzystać wojsko do tłumienia zamieszek. W wyniku starć wiele osób po obu stronach zostało poszkodowanych. Rano, na przystanku Szybkiej Kolei Miejskiej Gdynia Stocznia, oddziały milicji i wojska ostrzelały tłum pracowników Stoczni im. Komuny Paryskiej.

Według ustaleń prokuratury śmierć poniosło ok. 10 osób. Ludzie nie mieli gdzie uciekać. Zginęli m.in. Brunon Drywa, Zbigniew Godlewski, Jan Kałużny, Jerzy Kuchcik, Stanisław Lewandowski, Zbigniew Nastąły, Józef Pawłowski, Ludwik Piernicki, Jan Polechoński, Zygmunt Polito i Stanisław Sieradzan.

W centrum Gdyni uformowano pochód z biało-czerwonymi flagami, który ruszył ulicami 10 Lutego i Marchlewskiego w kierunku przystanku Gdynia--Stocznia, gdzie stał się zwojskiem. Rozproszony pochód zebrał się ponownie na ul. Czerwonych Kosynierów i ruszył do centrum Gdyni. Na czele pochodu niesiono na drzwach ciało jednego z zabitych - Zbyszka Godlewskiego, za nim niesiono pomazane krwią flagi. Godlewski do grudniowej legendy przeszedł jako tytułowy bohater

„Ballady o Janku Wiśniewskim”.

W tym samym czasie demonstracje trwały także na ulicach Słupska i Elbląga. Do strajkujących włączyli się pracownicy Stoczni Szczecińskiej im. Adolfa Warskiego, którzy z tysiącami ludzi demonstrowali w mieście, a wobec których wojsko i milicja użyły siły, kiedy protestujący podpalili gmach KW PZPR. Do tłumy zaczęło strzelać wojsko: śmierć poniosło 16 osób, w tym wiele młodzieży oraz osoby przypadkowo znajdujące się przy terenie protestu.

„Balem się krzyzcć”

Dokładny przebieg wydarzeń, które doprowadziły do Czarnego Czwartku, przedstawił później Konrad Tatarowski na antenie Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa w audycji „Jeden dzień w Gdyni - czwartek, 17.12.1970”. Program powstał w oparciu o dokumenty zgromadzone przez Sekcję Historyczną „Solidarności”. Autor zawarł w nim relacje naocznych świadków i uczestników tragedii.

„Najpierw poszła seria z pocisków świetlnych, potem był wystrzał z czołgu, ale wtedy już żeśmy ruszyli. Milicja strzelała pod nogi, co dawało rykoszety od kocih łbów. Wtedy powstała najgorsze rany. Obok mnie jeden dostał w krtń, drugi w nogę” - wspominał Stanisław Kodzik.

Inny uczestnik wydarzeń mówił tak: „Byłem w tłumie i nagle zostałem trafiony w nogę. Balem się nawet krzyzcć, prosić o pomoc. (...) Na jednej nodze doskakałem do wiaduktu, odsłoniłem nogę i już mi się słabo

robiło, więc zacząłem krzyzcć o pomoc. Ludzie zanieśli mnie do taksówki. Z przodu siedział facet postrzelony w bark, a obok mnie mężczyzna, który strasznie krzyzczał, że go boli. Nagle przestał krzyzcć, dostał drgawek. Wziąłem go za rękę, a on się obsunął nieżywy”.

Tragiczna statystyka

Tłumiąc protesty na Wybrzeżu, wojsko i milicja wykazały się niezwykle brutalnością. W sumie zginęło 45 osób, 1165 odniosło rany, ponad 3 tys. zostało zatrzymanych. Pogrzeby ofiar odbywały się wieczorem lub w nocy, potajemnie, mogła w nich uczestniczyć tylko najbliższa rodzina. We wszystkich objętych zamieszkami miastach obowiązywały stan wyjątkowy i godziny milicyjna.

Władze przez wiele lat ukrywały liczbę ofiar, cenzura ograniczała wszelkie informacje na ten temat. Niejasna jest także sprawa wydania rozkazu strzelania do robotników - większość partyjnych notabli z tamtego okresu już nie żyje.

Do pacyfikacji robotniczych protestów użyto 27 tys. żołnierzy, 550 czołgów, 750 transporterów opancerzonych, 108 samolotów i śmigłowców oraz 40 łodzi patrolowych Marynarki. W walkach użyto prawie 80 tys. pojemników z gazem. Podczas starć z milicją i wojskiem zniszczono 19 obiektów użyteczności publicznej, w tym gmachy KW PZPR w Gdańsku i Szczecinie.

Z dokumentów IPN wynika, że grudniowe zajścia nie ograniczyły się do Wybrzeża. Do demonstracji i strajków doszło także w Krakowie, Wałbrzychu i in-

nych miastach. Według ustaleń historyków w głębi kraju strajkowało wtedy ponad 20 tysięcy osób.

Kto był odpowiedzialny?

Komuniści starali się za wszelką cenę zatrzeć prawdę o wydarzeniach grudniowych. Mimo to dekadę później, kiedy przez cały kraj przetoczyła się wielka fala strajków, jednym z pierwszych postulatów protestujących było upamiętnienie zamordowanych. Dzięki temu 16 grudnia 1980 roku, zaledwie po trzech miesiącach prac, na placu przed Stoczną Gdańską uroczyście odsłonięto pomnik Poległych Stoczniovców - pierwszy w bloku komunistycznym pomnik ofiar tego reżimu, a zarazem symbol walki o wolność.

Historycy wciąż zastanawiają się, dlaczego władza wprowadziła podwyżki akurat przed świętami Bożego Narodzenia. Nawet bowiem dla komunistycznych aparatczyków musiało być oczywiste, że wywoła to protesty. Niektórzy uważają, że robotnicze protesty mogły zostać sprowokowane przez twardegołowych członków KC PZPR pod wodzą Mieczysława Mocza-ry, niektórzy sądzą zaś, że być może sytuację na Wybrzeżu sprowokowali Sowieci, chcąc pozbyć się Gomułki. Faktycznie, 20 grudnia 1970 r. na funkcję I sekretarza KC PZPR został wybrany Edward Gierek.

Prof. Jerzy Eisler, badacz najnowszych dziejów Polski, przyznaje, że wiele podejmowanych wówczas decyzji nosiło znamiona prowokacji. Prowokacji, która doprowadziła do śmierci wielu niewinnych ludzi.

Jak zrobić domowy zakwas buraczany?

Zakwas buraczany znajduje się w czołówce prozdrowotnych napojów, a ten przygotowany w domu nie ma sobie równych pod względem smaku i liczby żywych bakterii. Jak go zrobić?

Polska Press

Kiszenie buraków to staropolska metoda przetwarzania tego warzywa, która pozwala na utrwalenie ich na zimę. Dzięki temu wydłuża się ich czas przydatności do jedzenia, a wartość odżywcza wzrasta.

W ten sposób uzyskuje się zakwas buraczany oraz kiszone warzywo, z którego przeważnie wyciska się sok. Podczas kiszenia w burakach i wydzielonym przez nie soku zachodzi fermentacja mlekowa, w ramach której zawarte w nich cukry proste

przekształcane są w kwas mlekowy. Odpowiedzialne za to bakterie, głównie Lactobacillus plantarum, wytwarzają też inne związki wzbogacające smak i poprawiające właściwości zdrowotne kiszonki. To właśnie one pomagają wyleczyć dysbiozę jelit albo po prostu cieszyć się komfortem trawiennym.

Jak zrobić domowy zakwas buraczany?

Zakwas buraczany znajduje się w czołówce prozdrowotnych napojów, a ten przygotowany w domu nie ma sobie równych pod względem smaku i liczby

żywych bakterii. Jak go zrobić? Oto przepis:

Składniki:

2,5 kg buraków, 3 litry wody źródlanej lub filtrowanej, 55 g soli, ząbki z niecałej główki czosnku, 5-6 liści laurowych, 5-6 ziaren ziela angielskiego, szczypta całych ziaren czarnego pieprzu, słoik o pojemności 5 litrów (albo 4 l i ok. 1 l), spodeczki do przyciśnięcia buraków.

Przygotowanie:

Zagotuj wodę, po czym dodaj do niej sól i wymieszaj do rozpuszczenia. Przykryj garnek i odstaw do wystygnięcia - ja najchętniej wynoszę na balkon, by

przyspieszyć ten proces. Umyj i obierz buraki i pokrój na średniej wielkości kawałki. Obierz ząbki czosnki i porozkrawaj na pół. Wyparz wrzątkiem umyty słoik, jego wieczko i spodeczki. Wrzuć na dno wszystkie przyprawy, po czym umieść w nim buraki. Zalej buraki wystudzoną solanką, która może być jeszcze letnia lub lekko ciepła. Dociśnij buraki spodeczkami, by nie wypływały na powierzchnię. Nałóż wieczko na słoik, ale go nie zakręcaj; przykryj całość ściereczką, by osłonić przed światłem, i odstaw w ciepłe miejsce. Gdy



Kiszonki buraczane są niskokaloryczne. Dzięki procesowi fermentacji mają niski indeks glikemiczny.

po kilku dniach na powierzchni zakwasu zacznie robić się piana, usuwaj ją codziennie wyparzoną łyżką. Po ok. tygodniu spróbuj zakwasu i jeśli jest odpowiednio kwaśny, zlej go z nadburaków do wyparzonych butelek i wstaw do lodówki, a jeśli nie, odstaw jeszcze i regularnie próbuj.

Tak zrobiony zakwas przelej do litrowych butelek. Trzymaj go w lodówce nawet kilka miesięcy i w tym czasie nie pojawia się na nim pleśń ani nie traci na swoim smaku. Sięgaj po niego, gdy np. przemarzniesz albo chcesz poprawić trawienie. To także obowiązkowy składnik barszczu z białą fasolą.

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne? Telefonicznie: 800 472 852, 42 647 28 52

Przez internet: [ibo.polskapress.pl](#)

W Biurze Reklamy:

Kierownik działu ogłoszeń: Magdalena Śliwińska, m.sliwinska@dziennik.lodz.pl

tel. 502 499 114

ŁÓDŹ, ul. ks. Skorupki 17/19, tel. 502 499 448, 502 499 127

ŁÓDŹ, ul. Kolumny 6/36, tel. 502 499 119, C.H. Nowa Górna (Carrefour)

RUBRYKI I PODRUBRYKI W OGŁOSZENIACH DROBNYCH

NIERUCHOMOŚCI

- mieszkania - sprzedam
- mieszkania - kupię
- mieszkania - do wynajęcia
- mieszkania - wynajmę
- mieszkania - zamienię
- domy - sprzedam
- domy - kupię
- domy - do wynajęcia
- domy - wynajmę
- domy - zamienię
- lokale użytkowe - sprzedam
- lokale użytkowe - kupię

- lokale użytkowe - do wynajęcia
- lokale użytkowe - wynajmę
- lokale użytkowe - zamienię
- działki, grunty - sprzedam
- działki, grunty - kupię
- gospodarstwa
- garaże
- pośrednictwo
- inne
- bank stancji

HANDLOWE

- AGD
- RTV

- elektronika, komputery
- telefony
- car audio
- antyki
- kolekcjonerstwo, sztuka
- jubilerstwo
- filmy, muzyka
- foto, książki
- instrumenty muzyczne
- lombardy
- sport i rekreacja
- maszynny urządzenie
- materiały budowlane
- materiały opałowe

- tekstylia, odzież
- dla dziecka
- meble
- inne

MOTORYZACJA

- samochody osobowe
- ciężarowe, dostawcze
- busy autobusy
- rolnicze
- przyczepy, naczepy
- zabytkowe
- uszkodzone, rozbite
- motocykle
- części i akcesoria

- zamienię
- motofinanse
- motousługi
- inne

FINANSE BIZNES

- kredyty, pożyczki
- usługi finansowe
- usługi prawne
- biura rachunkowe
- ubezpieczenia
- oferty
- inne

NAUKA

- szkoły
- kursy/szkolenia

- języki obce
- korepetycje
- inne

PRACA

- zatrudnię
- urzędy pracy
- szukam pracy
- inne

ZDROWIE

- apteki
- pomoc całodobowa
- chirurgia
- ginekologia
- interna
- neurologia

- pediatria
- psychologia
- psychiatria
- stomatologia
- urologia
- inne specjalizacje
- przychodnie, kliniki
- laboratoria
- zabiegi
- opieka
- sprzęt medyczny
- uroda
- inne

USŁUGI

- agd rtv foto
- budowlano-remontowe

- instalacyjne
- biurowo - projektowe
- komputerowe
- krawiectwo
- montażowe
- ogrodnicze
- porządkowe
- przeprowadzki
- reklamowe
- stolarskie
- radio taxi
- transportowe
- rozrywka
- uroczystości
- zabezpieczające
- inne

TURYSTYKA

- agroturystyka
- kraj
- świat
- biura podróży
- obozy i kolonie
- wycieczki
- przewozy
- inne

ZWIERZĘTA

- lecznice
- usługi
- inne

MATRYMONIALNE

- różne

KOMUNIKATY

ŻYCZENIA/PODZIĘKOWANIA

GASTRONOMIA

- dania na telefon
- usługi
- inne

ROLNICZE

- maszyny rolnicze
- ogrodnictwo
- plody rolne
- zwierzęta hodowlane
- inne

TOWARZYSKIE

- usługi kamieniarskie
- usługi pogrzebowe

Nieruchomości

MIESZKANIA - SPRZEDAM

0011242693

OGŁOSZENIA DROBNE
na TELEFON
800 472 852
42 647 28 52

MIESZKANIA - KUPIĘ

Kupię każde mieszkanie. Garaż. Za gotówkę 792-669-171

Kupię mieszkanie zadłużone, z trudnym lokatorem, komornikiem, udziały. Gotówka, 883-402-202

MIESZKANIA DO WYNAJĘCIA

M2 27m² Dąbrowa, 603-452-273

Motoryzacja

OSOBOWE KUPIĘ

1 - 001 absolutnie autokup wszystkie, 533-232-606

AUTA uszkodzone - Złomowanie, 604-542-022

ROLNICZE KUPIĘ

1 - 001 skup ciągników i maszyn rolniczych, 533-232-606

Finanse biznes

KREDYTY, POŻYCZKI

0 - 2h. Pożyczka lombardowa, 42-658-86-44

Praca

ZATRUDNIĘ

TYNKARZY i pracowników budowlanych, 609-733-547

ZATRUDNIĘ szwaczki, 606-430-280

Zdrowie

POMOC CAŁODOBOWA

Odrucia, alkohol, kroplówki, ciagi, 602-691-580

ALKOHOL - ciagi, odrucia, 501-063-660

INTERNA

WIZYTY domowe - dr Matusiak, 601-266-571

WIZYTY domowe, 695-412-061

NEUROLOGIA

Neurolog - specjalista, 602-691-580

Usługi

AGD RTV FOTO

AGD - pralki szybko, tanio, 504-556-016

AGD, kuchnie, pralki, itp., 514-335-326

RTV, LCD - dojazd gratis, 889-153-215

TELE -audiovideo naprawa, 602-687-803

BUDOWLANO-REMONTOWE

DACH tanio solidnie VAT, 787-337-426

DACHY krycie, naprawy, 602-281-064

Dachy, papa, naprawy, 668-336-390

INSTALACYJNE

Hydraulik i czyszczenie kanalizacji, 511-333-094

Hydraulika - awarie, 509-721-995

Przepychanie kanalizacji - kamera, 509-721-995

MONTAŻOWE

Żaluzje - Plisy. Rolety 50zl. Moskitiery. Produkcja, montaż, naprawa. Drewnowska 88. Promocje! Gratysy!, 42-654-84-84, 501-380-619

OGRODNICZE

WYCINKA drzew, rębak, 507-668-712

PRZEPROWADZKI

Rutkowski przeprowadzki, 501-781-201

Różne

Monety PRL, starocie, banknoty i inne kupię, 884-312-678

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne
w Twojej gazecie
przez Internetowe
Biuro Ogłoszeń.
Bez wychodzenia z domu.



ibo.polskapress.pl

Z życia celebrytów

Iga Świątek

MARZY O DOMU W ITALII

Jan Kowalski

Iga Świątek w jednym z wywiadów ujawniła, że jej wymarzonym miejscem do życia nie jest Polska, a Włochy, które bardzo polubiła. A jak na co dzień mieszka jedna z najpopularniejszych raket na świecie? Chociaż prowadzi raczej życie na walcach, w przeszłości zdarzyło się jej zaprosić fanów do rodzinnego domu.

Iga Świątek bardzo wcześnie zaczęła pracować na swój późniejszy sukces. Miała pięć lat, gdy po raz pierwszy chwyciła rakietę tenisową. Zainspirowała ją starsza

o trzy lata siostra Agata, która także uprawiała wspomniany sport.

- Kiedy byłam dzieckiem, po zakończeniu treningów i meczów prawie nie zwracałam uwagi na tenis. Na początku skupiałam się głównie na mojej starszej siostrze, Agacie. Zakradałam się na jej lekcje tenisa i wyglądałam się - komentowała.

Świątek przez lata trenowała, by dziś być jedną z popularniejszych sportswerek na świecie, która bardzo liczy się w branży. Dowodem może być to, że jest druga w rankingu WTA - wyprzedza ją jedynie Aryna Sabalenka.

Przez swoje sportowe dokonania Iga ma fanów nie tyl-

ko w Polsce, ale niemal na całym świecie. Nic więc dziwnego, że regularnie udziela wywiadów, tak jak wtedy, gdy zgodziła się porozmawiać z włoską telewizją Super Tennis. W rozmowie zdradziła, że gdyby myślała o wyprowadzce z Polski, obrałaby jeden, konkretny kierunek.

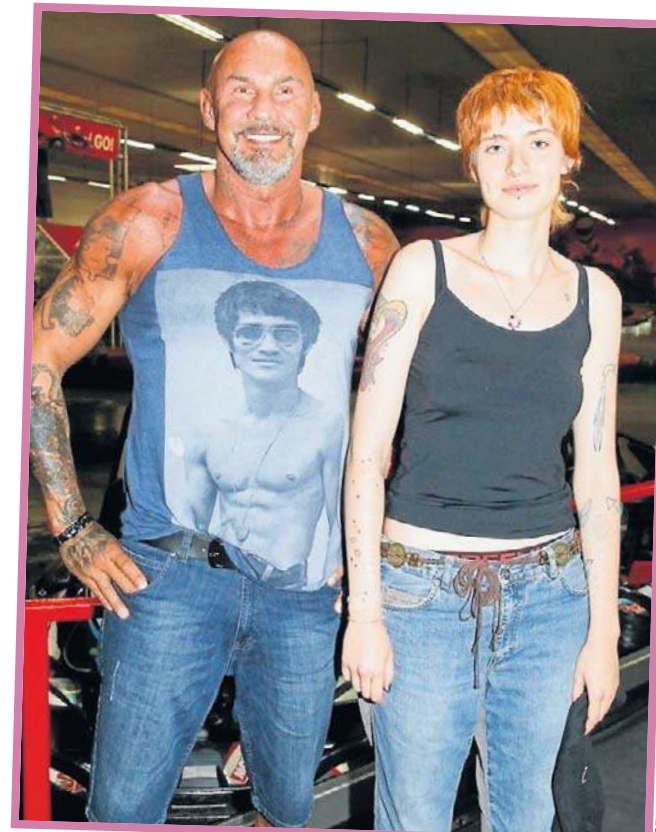
- Kocham Włochy i mogłabym tam zamieszkać. I może tak się stanie w przyszłości. Włochy są niesamowite, a moim marzeniem jest mieć tam dom.

Z racji na turnieje Świątek niemal non stop jest w rozjazdach. Gdy wraca do Polski, to wybiera Raszyn, gdzie mieści się jej rodzinny dom. Jak zdradziła, korzysta z każ-

dej chwili, którą tam spędza.

- W domu zawsze dobrze, zwłaszcza że bywam w nim tak rzadko. Wpadam na krótko, korzystam z każdej chwili i bardzo doceniam ten czas. Dzięki bliskim czeka na mnie zawsze coś pysznego do jedzenia, a Grappa dba o odpowiedni poziom kocich emocji. „Home sweet home” i to właśnie dzięki temu mogę mieć większy komfort i skupić się na ciężkiej pracy na korcie - ujawniła tenisistka w mediach społecznościowych.

W domu Igi Świątek, poza miejscem do odpoczynku i układania puzzli, znajduje się także przestrzeń do ćwiczeń.



LEGENDA RINGU POKAZAŁA SIĘ Z CÓRKĄ

Przemysław Saleta to jeden z najbardziej rozpoznawalnych polskich sportowców. Chociaż były kickbokser i pięściarz jest już na zawodowej emeryturze, jego popularność nie słabnie. Jakiś czas temu były sportowiec pojawił się na imprezie, gdzie u jego boku znalazła się wyjątkowa osoba - młodsza z córek. Nadia Saleta ma już 22 lata!

Były kickbokser i pięściarz wagi ciężkiej jest już legendą sportów walki, a jego imię i nazwisko Polacy znają i szanują od lat. Saleta na swoją popularność zapracował także działalnością pozasportową. Jeszcze w latach 90. XX wieku miał szansę wystąpić w epizodycznej roli w filmie Jarosława Żamojdy pt. „Młode wilki 1/2”. To otworzyło mu drzwi do kolejnych występów przed kamerą, przez co Saleta pojawił się w takich produkcjach jak m.in.: „Sztos”, „Zakochani”, „Skrzydlate świnię”, „Skazany na bluesa”, „Pierwsza miłość” i „Daleko od noszy”. Relewisz TVN w 2012 roku zrealizowała film inspirowany biografią Przemysława Salety pt. „Bokser”. Na ekranie w Saletę wcielił się Szymon Bobrowski.

W mediach szeroko komentowane jest także życie prywatne Przemysława Salety. Z pierwszą żoną Ewą Pacułą Przemysław Saleta ma córkę Nicole, która urodziła się w 1994 roku. W 2007 roku przeszedł operację usunięcia nerki, aby móc przeszczepić organ swojej córce. Drugą żoną Salety była Ewa Bydzra, z którą w 2002 roku doczekał się córki Nadii. (JK)



JAN URBAN OGŁOSI W PIĄTEK REPREZENTACYJNE POWOŁANIA

Jan Hofman

Jan Urban, selekcjoner polskiej kadry, ogłosi w piątek listę piłkarzy powołanych na listopadowe mecze eliminacji mistrzostw świata.

Biało-czerwoni 14 listopada zagrają w Warszawie na PGE Narodowym z Holandią (godz. 20.45), a 17 listopada zmierzą się na wyjeździe z Maltą (20.45).

W poniedziałek reprezentanci Polski stawiają się na zgrupowaniu w Warszawie, ale aktywności medialne mają zacząć się dopiero od wtorku.

W przeciwieństwie do kilku ostatnich zgrupowań, gdy biało-czerwoni przygotowywali się w Katowicach i Chorzowie, tym razem – po ośmiomiesięcznej przerwie – wrócą do Warszawy.

Bezpośredni awans na mundial 2026 w USA, Meksyku i Kanadzie wywalczą zwycięzcy grup, a zespoły z drugich miejsc wystąpią w dwustopniowych barażach.

Polscy piłkarze na dwie kolejki przed zakończeniem eliminacji zajmują drugą pozycję w grupie G z dorobkiem 13



FOT. LUCYNA NENOW

punktów i tracą trzy do Holandii, a o trzy wyprzedzają Finlandię, która rozegrała jedno spotkanie więcej od wyżej plasujących się zespołów.

„Pomarańczowi” mają znacznie korzystniejszy bilans bramek od Polaków (plus 19 do plus 6). W eliminacjach MŚ właśnie to kryterium jest najważniejsze w przypadku równej liczby punktów, więc podopieczni Urbana – żeby wyprzedzić Holendrów – musieliby zwyciężyć w bezpośrednim meczu w Warszawie i liczyć na jej potknięcie trzy dni później z Litwą, a sami pokonać Maltę na zakończenie zmagani grupowych.

David Beckham szlachcicem



David Beckham

FOT. INSTAGRAM/COM

Jan Hofman

Były kapitan piłkarskiej reprezentacji Anglii David Beckham otrzymał tytuł szlachecki na zamku Windsor.

Został pasowany na rycerza przez króla Karola III. Brytyjski monarcha docenił w ten sposób jego wkład w rozwój sportu oraz działalność charytatywną.

– Nie mógłbym być dziś bardziej dumny. Ludzie wiedzą, jakim jestem patriotą, kocham swój kraj – powiedział sir Beckham tuż po uroczystości, cytowany przez stację BBC.

Były piłkarz, określający siebie mianem „wielkiego rojalisty”, przyznał, że brytyjska monarchia zawsze była ważna dla jego rodziny. – Być tutaj i odebrać tytuł szlachecki od Jego

Królewskiej Mości to coś surrealistycznego – dodał.

W uroczystości towarzyszyła mu żona Victoria, była gwiazda zespołu Spice Girls, a obecnie projektantka mody, która od dziś będzie nosić tytuł Lady Beckham.

Piłkarz zadebiutował w Premier League w barwach Manchesteru United w 1995 roku i był członkiem drużyny, która odniosła zwycięstwo w finale Ligi Mistrzów w 1999 r., pokonując Bayern Monachium. W sumie w barwach Manchesteru United wystąpił w 394 meczach i strzelił 85 goli. Później grał w Realu Madryt, Los Angeles Galaxy, AC Milan i Paris Saint-Germain.

Beckham rozegrał 115 meczów w reprezentacji Anglii, co daje mu trzecie miejsce w historycznym zestawieniu, a 59 razy był jej kapitanem.

Siedem milionów euro wyrzucone w błoto?

Jak dotychczas Andi Zeqiri zawodzi w Widzewie.



„Andi Zeqiri, 16-krotny reprezentant Szwajcarii, były piłkarz m.in. młodzieżowej drużyny Juventusu, Brighton i Genk, podpisał kontrakt w Widzewem”.

Jan Hofman

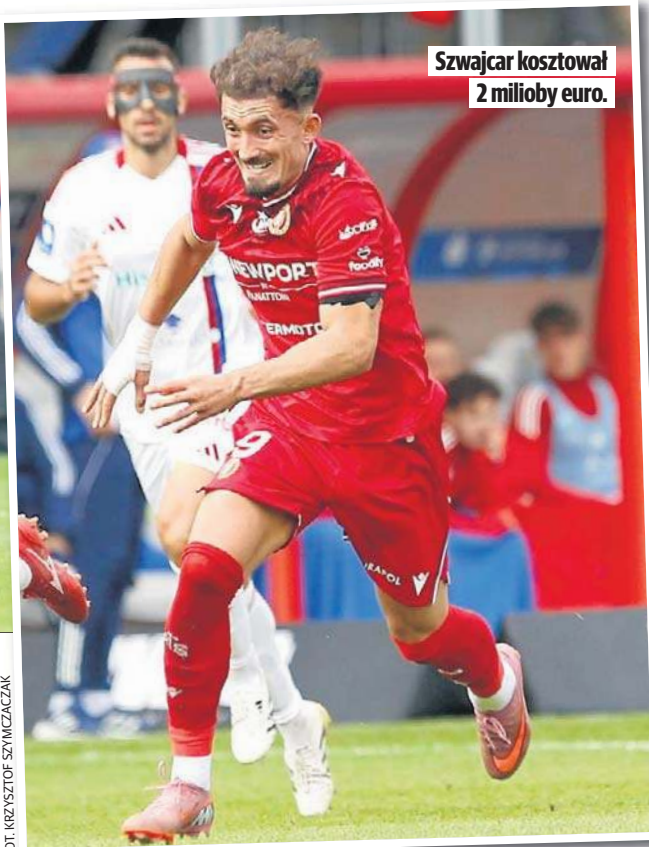
Ten komunikat przekazany na początku września przez klub z al. Piłsudskiego zelektryzował środowisko widzewskich kibiców.

Zachwytem nie było końca, a fani czterokrotnych mistrzów Polski długo wiwatowali z tej okazji. Strzelali szampany, a wizje dotyczące oczekiwanej skuteczności piłkarza rozpały wyobraźnię wszystkich, którym leży na sercu dobro łódzkiego klubu.

Mogło być tylko dobrze, bo wiem – pozyskanie Zeqiriego,

to rekordowy transfer w historii klubu. Wydane 2 miliony euro i gwiazdorska pensja (1,2 mln euro brutto rocznie dla 26-latk, Szwajcar jest najlepiej opłacanym zawodnikiem ekstraklasy) miały być gwarancją czegoś wielkiego, wyjątkowego w 115-letniej historii RTS. Nie dziwi, że następnik podpisał z klubem 4-letni kontrakt.

Euforia udzieliła się też sterownikowi Widzewa. Nim jeszcze piłkarz przywdział koszulkę łódzkiego klubu, prezes Michał Rydz napisał w mediach spo-



Szwajcar kosztował 2 miliony euro.

FOT. KRZYSZTOF SZYMCIACZAK

łecznościowych: – Nasza transferowa perła w koronie!

Nie dziwi zatem, że po taką perełkę wysłano prywatny samolot właściciele piłkarskiej spółki Widzewa, a na czele delegacji szykującej się do zawarcia kontraktu stanął sam Robert Dobrzycki.

Mindaugas Nikolicius, dyrektor sportowy Widzewa, tak wówczas zachwalał efekty swoich starań: – W fazie ataku Andi charakteryzuje się wysokim poziomem inteligencji sytuacyjnej. Jego atuty to gra jeden na jeden, dyscyplina taktyczna i kontrola

przebiegu gry, które pozwalają mu podejmować trafne decyzje i stwarzać przestrzeń na boisku nie tylko dla siebie, ale też dla kolegów z drużyny.

Zeqiri rozegrał dziewięć spotkań w łódzkiej drużynie – siedem w ekstraklasie i dwa Pucharze Polski. W najważniejszych liczbach – golach i asystach – ma dwa zera.

Wychodzi na to, że ktoś w Widzewie okrutnie oszukał Dobrzyckiego, bo przyjdzie mu zapłacić za sztuczny diament blisko siedem milionów euro. Drogo jak na podróbkę klejnotu!

UKS SMS organizuje turniej dziewczynek

Jan Hofman

W sobotę na boiskach Sportowego przy ul. Milionowej 12 w Łodzi odbędzie się turniej piłkarzy nożnych ECO MŁYNEK FOOTBALL CUP!

Turniej, organizuje go UKS SMS Łódź, który rozpocznie się o godz. 10.30 przeznaczony jest dla drużyn w kategorii Orliczki (roczniki 2015/2016). Oprócz gospodarzy nie zabraknie znanych z piłki kobiecej klubów jak: Widzew Łódź, GKS

Górnik Łęczna, GKS Katowice, Wisła Płock czy UKS Szóstka Inowrocław. Szykują się wielkie emocje.

Trenerka reprezentacji Polski U-15 powołała Gabrielę Jakubczak i Magdalenę Kaźmierczak, czyli zawodniczki, które są w klubie prezesa Janusza Matusiaka od ponad roku i zdążyły zdobyć już mistrzostwo CLJ U-16.

Z kolei Matylda Gruszczyńska i Laura Urbańczyk będą miały okazję zaprezentować swoje umiejętności w reprezentacji Polski U-18.



FOT. ARCHIWUM

Fabian Piasecki długo czekał na gola



Kibice ŁKS cieszyli się z pokonania Śląska Wrocław.



Fabian Piasecki w akcji.

W piłkarskiej drużynie ŁKS znacznie więcej optymizmu. To jednak nie dziwi, bo pokonanie dotychczasowego lidera dało łodzianom znaczny awans w tabeli pierwszej ligi.

Jan Hofman

Łkaesiacy po piętnastu seriach mistrzowskich wskoczyli na siódme miejsce w tabeli.

Wprawdzie podopieczni trenera Szymona Grabowskiego tracą do liderującej Wisły Kraków aż siedemnaście punktów, to jednak do wicelidera - Pogoni Grodzisk Mazowiecki - już tylko siedem. Inna sprawa, że czołówka drużyn, które mają szansę zakończyć rozgrywki

na miejscu barażowym dającym prawo dwustopniowej rywalizacji o ekstraklasę, jest liczna, a ich zdobycze punktowe są zbliżone do siebie

4. Chrobry Głogów	15	25	21-14
5. Polonia Bytom	15	24	22-16
6. Wieczysta Kraków	15	23	32-23
7. ŁKS Łódź	15	21	24-23
8. Ruch Chorzów	15	21	22-23
9. Stal Rzeszów	15	21	24-26
10. Miedź Legnica	15	21	23-30
11. Pogoń Siedlce	15	20	21-17
12. Polonia Warszawa	15	20	23-25
13. Odra Opole	15	19	15-17

Oczywiście w ŁKS mogło być znacznie lepiej, ale łodzianie w tym sezonie kompletnie zawodzą na wyjazdach. Wystarczy powiedzieć, że z dwudziestu czterech możliwych zdobyli zaledwie cztery!

Warto jeszcze wrócić do ligowej rywalizacji Łkaesiaków ze Śląskiem Wrocław (2:1). Do wyrównania w tym meczu doprowadził Fabian Piasecki, który bardzo silnym i precyzyjnym w pierwszej piłce pokonał bramkarz drużyny ze sto-

licy Dolnego Śląska. To była jego szósta bramka w tym sezonie.

Warto jednak odnotować, że 30-latek drużyny z al. Unii trafił do siatki po raz pierwszy od 19 sierpnia (porażka 1:2 w meczu wyjazdowym z Miedzią Legnica), po ośmiu ligowych spotkaniach z rzędu bez gola! Trzeba przyznać, że przełamał się w znakomitym momencie i walenie przyczynił się do wywalczenia bardzo cennych trzech punktów.

OSŁABIONY BAYERN MONACHIUM POKONAŁ W PARYŻU PSG

Jan Hofman

Piłkarze Liverpoolu pokonali u siebie Real Madryt 1:0 w spotkaniu czwartej kolejki Ligi Mistrzów.

Gola zdobył 61 minucie Argentczyk Alexis Mac Allister. Ostatnie bezpośrednie starcia Liverpoolu z Realem to m.in. dwa finały Champions League - oba wygrane przez Królewskich.

Broniące trofeum Paris Saint-Germain przegrało w stolicy Francji z Bayernem Monachium 1:2.

W pierwszej połowie bohaterem gości był Kolumbijczyk Luis Diaz, który zdobył obie bramki (4 i 32), ale w doliczonym czasie tej części gry brutalnie sfaulował Marokańczyka Achrafa Hakimiego i został ukarany czerwoną kartką. Kontuzjowany Hakimi musiał zostać zmieniony, a wcześniej, w 25 minucie, z powodu urazu musiał też zejść laureat Złotej Piłki dla najlepszego zawodnika roku na świecie Francuz Ousmane Dembele.

To drugi przypadek w historii LM, że piłkarz zdobył w jednym meczu dwa gole i dostał czerwoną kartkę. Poprzednio to samo



spotkało Francuza Antoine'a Griezmann'a w meczu Atletico Madryt z Liverpoolem w sezonie 2021/22.

Grający w osłabieniu Bayern stracił bramkę - w 74 minucie Manuela Neuera pokonał Portugalczyk Joao Neves - ale utrzymał korzystny wynik do końca i został nowym liderem tabeli Ligi Mistrzów

Arsenal Londyn w ósmym kolejnym meczu, licząc wszystkie rozgrywki, odniósł Angielska drużyna pokonała w Pradze Slawię 3:0. Kanonierzy pobili klubowy rekord z 1987 roku, kiedy wygrali siedem spotkań z rzędu z czystymi kontami.

Ronaldo się rozplacze

Jan Hofman

41-letni Cristiano Ronaldo ma świadomość, że jego piłkarska kariera dobiega końca.

W wywiadzie dla Piersa Morgana Portugalczyk przyznał, że przejście na sportową emeryturę będzie dla niego trudnym doświadczeniem. - Będzie ciężko, prawdopodobnie się rozplacze - wyznał CR7.

Portugalczyk swoją karierę rozpoczął w Sportingu Lizbona. Później występował w Manchesterze United, Realu Madryt, Juventusie Turyn, ponownie w Manchesterze United, a w 2023 roku przeszedł do Al-Nassr Rijad. Pięć razy zdobył Złotą Piłkę i pięciokrotnie triumfował w Lidze Mistrzów - ostatnio w 2018 roku, tuż przed odejściem z Realu.

Pomimo zaawansowanego wieku napastnik nadal jest powoływany do reprezentacji Portugalii, w której strzelił 143 gole w 225 występach, oraz triumfował w Euro 2016 i finałowym turnieju Ligi Narodów trzy lata później.

Stefano Pioli został zwolniony z funkcji trenera piłkarzy Fiorentiny. W tym sezonie włoskiej ekstraklasy drużyna z Florencji nie wygrała żadnego me-



Cristiano Ronaldo

czu i zajmuje ostatnie miejsce w tabeli.

60-letni Pioli w przeszłości - w latach 2017-19 pracował już w Fiorentinie. Był także trenerem m.in. Lazio Rzym, Interu Mediolan i AC Milan.

Mario Marinica został mianowany selekcjonerem piłkarskiej reprezentacji Zimbabwe na sześć tygodni przed rozpoczęciem Pucharu Narodów Afryki. Rumuński szkolenowiec podpisał roczny kontrakt.

Sportowe wiadomości w skrócie

Jan Hofman

Mistrz olimpijski w biegu na 1500 i 5000 m Norweg Jakob Ingebrigtsen kupił za milion euro gospodarstwo w rodzinnym Sandnes.

Po zakończeniu kariery chce zostać rolnikiem. Co najważniejsze, razem z gruntem o powierzchni 14 hektarów, zabudowaniami mieszkalnymi i gospodarczymi przejął od poprzedniego właściciela kwotę mleczną umożliwiającą mu sprzedaż mleka po zagwarantowanej cenie skupu. Na razie

ziemia jest wynajmowana pod uprawę jęczmienia i ziemniaków.

Koszykarze Oklahoma City Thunder wygrali w Los Angeles z Clippers 126:107 i pozostają jedyną niepokonaną drużyną w lidze NBA. Obrońcy tytułu mają bilans 8-0, co jest rekordem klubu pod względem zwycięskiej serii na początku sezonu.

Mikko Rantanen z Dallas Stars jako czwarty Fin w historii ligi hokeja NHL osiągnął granicę 300 zdobytych bramek. We wtorkowym meczu z Edmonton Oilers trafił dwukrotnie, a je-

go zespół pokonał po rzutach karnych gości z Kanady 4:3.

W Centrum Olimpijskim zaprezentowano trzy zestawy kolekcji strojów, w których polscy sportowcy wystąpią w zimowych igrzyskach Mediolan-Cortina 2026. Ogłoszono, że złoci medalisci w konkurencjach indywidualnych otrzymają dodatkowo w nagrodę samochody - toyota corolla. Premia za złoty medal wywalczony indywidualnie wyniesie 500 tys. złotych, za srebrny - 400 tys., za brązowy - 300 tys. Attache olimpijskim został Czesław Lang.



Takie kurtki otrzymają polscy olimpijczycy.



listopada 2025

DZIŚ IMIENINY OBCHODZĄ

Leonard, Melaniusz, Anita, Gabriela, Hieronim i Krystyna.

HOROSKOP

Baran



(21.03-19.04) To, co tobie wydaje się dziwne, dla kogoś innego może być całkiem zwyczajne. Dla tego nie dziw się i nie krytykuj.

Byk



(20.04-22.05) Po poważnej rozmowie ci ulżyło. Zastanów się tylko, czy nie przysporzyłeś smutnej refleksji komuś innemu.

Bliznięta



(23.05-21.06) Twoje przypuszczenia były słuszne. To, co teraz zrobisz z wnioskami, zależy tylko i wyłącznie od ciebie.

Rak



(22.06-22.07) Nie ukrywaj tego, co naprawdę czujesz. Może gdy wreszcie się do tego przyznasz, poczujesz się wyzwolony.

Lew



(23.07-23.08) Trzeba wziąć się za siebie, nie ma innego wyjścia. Nikt tego za ciebie nie zrobi, a czasu jest coraz mniej.

Panna



(24.08-22.09) Pamiętaj, że nikt nie może ci mówić, co masz robić i jakie decyzje podejmować. Przecież nie jesteś już dzieckiem!

Waga



(23.09-22.10) Nie spinaj się tak mocno, w niczym to przecież nie pomoże. Przestań snuć teorie spiskowe na temat innych.

Skorpion



(23.10-21.11) Nie słuchaj pokpiwań, twoje postępowanie nie musi podobać się każdemu. Ważne, że odpowiada tobie.

Strzelec



(22.11-21.12) Zawsze stajesz po stronie słabszych, bo denerwuje cię niesprawiedliwość. Nie inaczej będzie tym razem.

Koziorożec



(22.12-19.01) Nie rób drugiemu, co tobie niemiłe. Ta zasada stosuje się nie tylko do bliskich, ale i do współpracowników.

Wodnik



(20.01-18.02) Zmartwienie to twoje drugie imię, szczególnie w ostatnich dniach. Bliscy postanowili cię nie oszczędzać...

Ryby



(19.02-20.03) Musisz być bardziej uważny. Teraz łatwo będzie popełnić błąd. Nie daj zwieść się na manowce, zwłaszcza dziś.

SALLY FIELD

Aktorka kończy 79 lat, a 37 aktorka Emma Stone (obie zdobyły po 2 Oscary).

W 1948 r. w Gdańsku zwodowano pierwszy statek zbudowany w powojennej Polsce – „Soldek”.

W 1951 r. z linii montażowej FSO zjechała pierwszy samochód marki Warszawa M20.



FOT. WIKIMEDIA COMMONS

DZIEŃ CANDY DULFER

Dzisiaj można świętować Dzień Zapobiegania Wyzyskowi Środowiska Naturalnego podczas Wojen i Konfliktów Zbrojnych oraz Dzień Saksofonu. A przysłowie na dziś to: „Gdy w listopadzie gawrony gromadnie latają, deszcze albo śniegi zapowiadają”.

(JM)

Emma Stone:
„Gdybym stała się
celebrytką,
ziściłby się
mój najgorszy
koszmar.”

OBYCZAJE

**Jeszcze
za wcześnie
dzwonią
z cmentarza**

Podczas towarzyskiego spotkania łódzianin opowiadał przyjaciółom o tym, jakim refleksiem wykazał się jego kolega. Otóż panowie wybrali się razem na mecz piłki nożnej gdy zadzwonił telefon. Wyjął go z kieszeni i spojrzął na wyświetlacz na którym jako dzwoniący wyświetlił się „cmentarz”. W tym momencie kolega wyrwał mu komórkę z rąk krzycząc: „Nie odbieraj, to za wcześnie dla ciebie”. Jak się okazało jako cmentarz zapisany był mężczyzna, który podjął się na zlecenie uprządkowania grobów rodzinnych łódzianina.

(LB)

NERWY NASTOLATKA

Nastolatek z Górnej zdenerwował się na babcię, bo zaproponowała mu, że skoro skończyła jej się umowa na telefon i może sobie wybrać nowy – to podaruje go wnukowi. A ten miał żal, bo trzy miesiące wcześniej sam kupił sobie nową komórkę.

(JM)

OBYCZAJE

LEKI Z FAKTURA DLA EMERYTKI

W aptece na Polesiu kobieta w wieku emerytalnym płaci za odbierane leki ponad 1500 zł. Farmaceutka pyta, czy wystawić jej fakturę. – Tak, poproszę – odpowiada klientka. – Mój pracodawca, choć od kilku lat jestem na emeryturze, gdy przedstawię rachunek przyzna mi zapomogę na leki. Starsza pani zwierzyła się, że pracowała jako pielęgniarka w jednym z łódzkich szpitali. Związki zawodowe w placówce nadal dbają o to, ab emerytowanym pielęgniarcom udzielić finansowego wsparcia...

(LB)



FOT. WIKIMEDIA COMMONS

FELIETONIK

TO DAŁO SIĘ ZROBIĆ W PRADZE. A W ŁODZI?

Wkurzają mnie porozrzucane na chodnikach i trawnikach wypożyczone hulajnogi elektryczne. A jeszcze bardziej to, że łódzki magistrat nie potrafi zrobić z tym porządku. Nie potrafi, albo nie chce. A przy tym nie chodzi mi tylko o bezpieczeństwo pieszych, ale także o zwykły porządek i estetykę. Bo przyszwajając na tolerowanie bałaganu na chodnikach wprowadzamy zgodę na nieporządek także w innych sferach życia publicznego. A łódź mogłaby wziąć przykład choćby z czeskiej Pragi, gdzie radni kilka tygodni temu przyjęli uchwałę w sprawie uniemożliwienia parkowania hulajnóg elektrycznych we wszystkich dzielnicach. Prawo ma zacząć obowiązywać od stycznia 2026 r. i w praktyce będzie oznaczać koniec wypożyczania hulajnóg elektrycznych. Powodem tej decyzji jest długotrwała krytyka ze strony mieszkańców, według których źle zaparkowane hulajnogi przeszkadzają przechodniom. Można?

Jan Malarz

POGODA

Dzisiaj w Łodzi

max **13°C**
min **2°C**



Jutro

max **12°C**
min **1°C**



Sobota

max **12°C**
min **4°C**



Niedziela

max **9°C**
min **5°C**



Poniedziałek

max **8°C**
min **0°C**



FOT. 123RF

**LEKKIE,
SYCĄCE
CONGEE**

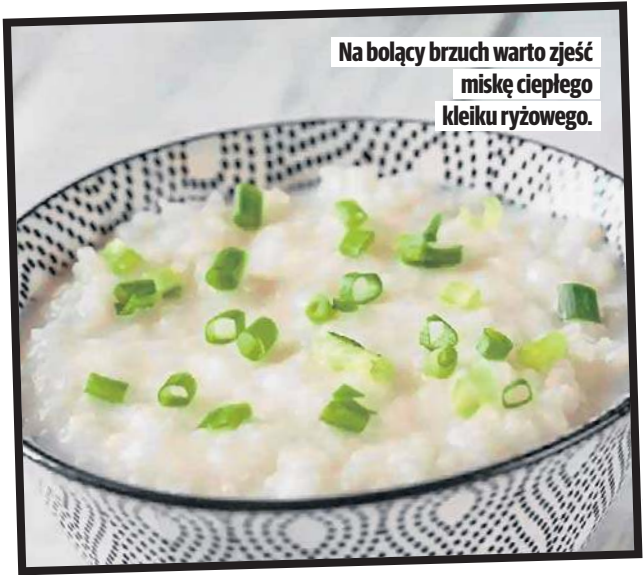
Gabriela Fedyk

Niepozorna miska kleiku ryżowego może zmienić twoje samopoczucie bardziej niż niejeden modny superfood. Congee, tradycyjna chińska potrawa o jedwabistej konsystencji, to coś więcej niż opcja na ciepłe śniadanie – to naturalny sposób na wzmocnienie trawienia, wsparcie odchudzania i przywrócenie równowagi organizmu.

W tradycyjnej medycynie chińskiej congee – znane też jako jook – jest symbolem harmonii i zdrowia. To prosty, powoli gotowany kleik ryżowy przygotowywany z dużą ilością wody lub bulionu. Efekt? Lekka, ciepła, głęboko odżywcza potrawa, która delikatnie wspiera żołądek i jelita. Chińscy lekarze polecają ją osobom z problemami trawiennymi, po chorobie, a także tym, którzy chcą odzyskać energię i wewnętrzne ciepło. W dawnych księgach można przeczytać, że „gęsta zupa ryżowa leczy tak skutecznie jak wywar z żeń-szenia” – i choć brzmi to poetyc-

ko, dziś wiemy, że congee naprawdę działa. Według chińskiej filozofii zdrowia nasze trawienie przypomina kocioł, który potrzebuje ognia, by przetwarzać pokarm w energię. Zimne, ciężkie lub przetworzone jedzenie ten ogień gasi – powodując ospałość, wzdęcia i spowolnienie metabolizmu. Congee robi coś

dokładnie odwrotnego. Ciepłe, lekkie i dobrze nawodnione danie „rozpala” ogień trawienny, wspomagając przetwarzanie pożywienia w energię, a nie w tłuszcz. Congee jest niskokaloryczne, a jednocześnie sycące – dzięki temu jesz mniej, ale czujesz się w pełni zaspokojony.



FOT. 123RF

Na bolący brzuch warto zjeść
miskę ciepłego
kleiku ryżowego.